Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 31. Października 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 44.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Wobec ojca.

Bracław, dziś miasteczko powiatowe, położone nad Bohem pomiędzy Niemirowem, Hajsynem a Tulczynem, w równej prawie od każdego z miasteczek tych odległości, ustępuje każdemu z nich pod względem przeciętnej miastowej wartości. Z miastami dzieje się trochę jak z ludźmi. »*Ne rodysia krasnym, a szczasnym.*« Bracław urodził się śród warunków najpomyślniejszych i w punkcie stanowiącym środek ciężkości politycznej. Czy dał nazwę krainie z nieokreślonym tytułem, czy teżześrodkował w sobie nazwę krainy: tego na pewne powiedzieć nie można. Kwestja ta ginie we mgle przeszłości, w której również giną i granice Bracławszczyzny, obejmujące, jak się przypuszczać godzi, w wieku XII, ziemie sięgające na wschód do brzegów morza Czarnego, na południe do Dunaju, wkluczając w siebie Dzikie Pola, Budżak, Mołdawię. Olgierd instalował tu Koryatowiczów. Kiedy Dzikie Pola odpadły na koczowisko dla Tatarów, a porzecze Prutu aż po Dniestr zajął naród zagadkowego pochodzenia, łacińskiem mówiący narzeczem, wówczas granice Bracławszczyzny ścieśniły się i nawet poczęto ją mieszać z Wołyniem w ten sposób, iż niekiedy wyrażenie »województwo Wołyńskie« rozciągało się i na Bracławszczyznę. Wyraźnie, pod imieniem województwa oddzielnego, występuje ona w czasie unji lubelskiej w osobie wojewody Romana kniazia Sanguszki i kasztelana Jędrzeja kniazia Kapusty. Za nich Bracław był województwa stolicą, posiadał gród i ziemstwo z jurysdykcją sądową. Gród, ziemstwo i jurysdykcją przeniesiono do Winnicy 1598, bez zmienienia nazwy województwa. Do Bracławia odnoszą się wojewodowie: Roman ks. Sanguszko, Grzegorz ks. Sanguszko i Janusz ks. Zbaraski, i kasztelanowie: Jędrzej ks. Kapusta, Michał ks. Wiśniowiecki, Bazyli Zahorowski, Aleksander Siemaszko i Grzegorz ks. Sanguszko. Inni wszyscy województwa tego senatorowie wychodzą z Winnicy, która też wzrastała kosztem Bracławia, podczas kiedy ten ostatni trzymał się jeszcze przez czas jakiś, jako punkt strategiczny, dysząc wspomnieniami świetności dawnej. Miasto podupadało i zapewne w epoce, do której powieść się nasza odnosi, byłoby już upadło zupełnie, gdyby nie fosy i zamek, który ochrończemi skrzydłami osłaniał mieszkańców. Następnie, w XVIII już wieku, los jeszcze raz Bracławiowi się uśmiechnął — był przez czas jakiś stolicą *obłasti* i o mało nie został stolicą gubernii. Niestety! uśmiech ten był przelotnym. *Urodywsia krasnym, ałe ne szczasnym.* Faworyzowane przez fortunę miasteczka Tulczyn, stolica Potocczyzny i Niemirów, podryw mu czyniły i czynią. Ominęła go droga żelazna; na monografją jego nawet, na którą on zasługuje, nie zdobył się nikt jeszcze.

W zimie 1674 — 75, kiedy wojewodą bracławskim był Konstanty książę Wiśniowiecki, a kasztelanem Franciszek Koryciński, Bracław dostąpił tego zaszczytu, że został główną kwaterą króla hetmana. Sobieski zamieszkał w zamku. Zamiarem jego było, bez względu na mrozy i śniegi, toczyć wojnę aż do zupełnego oczyszczenia kraju z nieprzyjaciela. Piękny ów zamiar rozbił się o zamiłowanie szlachty do kąta własnego. Prowadzenie wojny zimową porą wydawało się jej potwornością. Szlachta litewska pierwsza ofuknęła się na to i odstąpiła od Kamieńca. Król rad nie rad przybrać musiał postawę wyczekującą, zajął punkta ważniejsze i rozwinął akcją dyplomatyczną, usiłując porozumieć się z Doroszenką, z Moskwą, z hanem i z Persją — słał poselstwa na wsze strony, nie zaniedbując przytem operacyj wojennych, dokonywanych resztkami pozostałego przy nim wojska.

Krupiarz, u którego się podróżni nasi zatrzymali, był to strategik i polityk zarazem, jako taki więc wiedział, co się święci; był zaś tego przekonania, że ostatecznie trzeba będzie het wszystko na żarna wziąść, zakręcić i skrupić. Zapatrywał się na rzeczy krytycznie.

— Bo nie to — mawiał — co powiadają, że jednemu się skrupi, a drugiemu się zmiele, ale to, że czy się zmiele, czy się skrupi, to na jedno wyjdzie... Otóż ja powiadam i przy swojem obstaję: Chcesz z Turkiem do końca trafić... na żarna go!... i krup... Chcesz z kozactwem do końca trafić... na żarna je!... i krup!... Skrupiony, zmielony... to wszystko jedno...

Miał on żonę i dzieci — te jednak w rachunek nie wchodziły — był panem w domu i sprawował rządy despotycznie.

Despotycznie też nieco i względem podróżnych się postawił.

— Macie za dwa złote kąt ciepły... — przemówił do nich na wstępie — siedźcież cicho i nie rypajcie się.

— Ba!... — odparł pan Maciej — niby to my po to opętanych mil dziesięć jechali, aby u waszeci siedzieć... Jak przy-

jechaliśmy, tak odjedziemy; nim zaś odjedziemy, potrzeba nam pokręcić się trochę...

— Kręćcie się... kiej mi licho do tego...

— Ale my, znajdując się pod waszeci dachem, jesteśmy tem samem i pod waszeci protekcją...

Wyraz »protekcja» pogłaskał krupiarza miłość własną.

— Ph... — pyknął — to i jakże protegować was mam?...

— Dając przedewszystkiem jejmości swojej polecenie, ażeby nam mleka zagrzała, następnie zaś, wyznaczając dla tej pani — tu na starościankę ukazał — kącik osobny a spokojny, w którymby się ona przespać mogła...

— Marta!... — krzyknął krupiarz głosem rozkazującym — mleka tam uwarz!... Co zaś do kącika — tu głos zniżył — jest cztery kąty w izbie jednej i cztery kąty w drugiej... niech wybierze sobie...

— Nie możnaby tak, żeby nocowała bądź sama, bądź z niewiastami?...

— Tra la la!... to co?... To ja się wynosić mam?...

— Hm!... — mruknął jegomość, oglądając się po izbie.

Powiódł okiem po belkach i wnet na koncept wpadł.

— Czy nie dałoby się tu... tak... osłonić czem?...

— Wymysły... — bąknął krupiarz.

— A no... cóż chcecie?... na wymysłach świat stoi... I krupa wymysł...

Krupiarz zamilkł. Poznał snadź, że na kutego trafił. Głową jeno pokręcił.

— Gdyby tu tak — ciągnął jegomość, palcem pokazując — radno, albo co, końcem jednym przywiązać tu, a drugim tu... ot i byłby kącik osobny...

— Marta!... podaj tu radno!... — krzyknął krupiarz.

Zawieszeniem osłony zajął się Jurek i pani Krystyna miała kącik, w którym się rozebrać i ubrać swobodnie mogła.

Wkrótce pojawiło się mleko. Młoda kobieta, zmęczona setnie, ogrzawszy się wewnątrz, uczuła nieprzeparty do snu pociąg, któremu przeszkodzić nie zdołała myśl blizkiego stanięcia przed obliczem ojcowskiem. Nie wiedziała wszelako na pewne, czy ojciec znajduje się w Bracławiu, czy też w innem mieście jakiem. Pan Maciej zasięgał w tym względzie informacyj w Tulczynie, lecz mu objaśnień dać nie umiano. Począł więc z ogródka pytania gospodarzowi rzucać, nie uważając za rzecz stosowną wtajemniczać go w sytuacją młodej kobiety.

— Cóż tu słychać dobrego?... — zagabnął.

— Słychać tyle, aż uszy puchną...

— To źle...

— Czy ja powiadam że dobrze!... — ofuknął się krupiarz. — Nie będzie dobrze, póki Turka nie skrupią... Skrup Turka, skrup kozactwo, skrup Tatarów, a potem się sobie brzuchem do góry wywal...

— Racja... — rzekł jegomość. — Król tu?

— Gdzieżby miał być!...

— Czy nie zamyśla on do Bracławia z Warszawy stolicę przenieść?...

— O!... — odezwał się krupiarz słowami temi uderzony. — Czy zamyśla?...

— Nie wiem... dlatego pytam...

— Czy waszmości kto powiadał o tem?...

— Hm!... tak to niby... gdzieś mi się to o uszy obić mogło...

— Wiesz waszmość, byłaby to rzecz nie lada... Stolica w Bracławiu? O toż bym krupy sprzedawał!... Hm!... Jeżeli można było przenieść stolicę z Krakowa do Warszawy, to i dla czegożby nie można z Warszawy do Bracławia?...

— A i do Krakowa stolica przeniesioną została...

— Zkąd?

— Z Gniezna... do Gniezna zaś z Kruszwicy.

— No proszę!... To może i Bracławowi naszemu gratka się trafi...

— Zależy to od tego, jeżeli królowi stany pozwolą...

— Och!... te stany...

— One tańczą jak im zagra łepak ten i ów... Cała sztuka na tem, ażeby król przekabacił na swoję stronę łepaków kilku: biskupa jakiego, którego z panów... no, i szlachciców paru... Przecież jest on szafarzem łask i starostw...

— To prawda...

— A któż się na starostwo nie złakomi?... Czy w Polsce znajdzie się taki aby jeden?...

— No... jest jeden...

— Który?

— Józef Łączyński... Ledwie nie ledwie uprosić się dał, że przyjął starostwo buskie...

— Ale król go zapewne z daleka od siebie trzyma?

— Ba, nie... Na ten przykład: teraz on tu... Stary, ale jary...

— I mieszka z królem w zamku?

— Nie... Starosta buski mieszka w mieście, obok cerkwi... Ztąd nie tak to bardzo daleko...

Stary dowiedział się, o czem wiedzieć potrzebował, prowadził więc dalej gawędkę miękko, półuchem jeno słuchając rozprawiania krupiarza o korzyściach, jakie z przeniesienia stolicy do Bracławia wynikną. Rzecz naturalna, korzyści owe wychodziły z punktu fachu krupniczego. Odnosił on do takowego potrzeby państwa, naśladując w tem polityków wielkich, którzy, niestety! nie co innego czynili, jeno potrzeby państw do fachu swego odnosili. Niech też im Pan Bóg nie pamięta tego!...

Krupiarz miał ochotę politykować, a nawet nie okazywał wstrętu do tego, ażeby na stole flaszka stanęła, ale jegomość oświadczył stanowczo, że zdrożony i spać chce. Jurek dla siebie i dla ojca przygotował legowisko na workach, w tej samej izbie, w której za zasłoną spała pani Krystyna. Szukał siana, bodaj słomy; lecz słoma i siano nie do znalezienia były, gdzie zaś się znajdowały, to ceniły się na równi z cynamonem. Ludzie z okazji korzystali.

Po nocy, spędzonej na śnie twardym, zajaśniał dla bohaterki naszej dzień próby wielkiej. Wstała wcześnie, ubrała się prędko, pomodliła się gorąco i z powodu wzruszenia śniadania spożyć nie była w stanie. Z niemałym trudem pan Maciej namówił ją do przełknięcia łyków paru mleka, a to dla tego, ażeby na czczo na mróz nie wychodzić. Po śniadaniu ukryła się jeszcze za zasłoną swoją, dłonie złożyła, oczy do góry wzniosła i westchnęła westchnieniem tem, co to człek wydaje na odwagę. Zasłonę odchyliła, wyszła. Pan Maciej gotów był do towarzyszenia jej. Zwróciła się do Jurka, nie wiedząc na pewne, czy ma się z nim żegnać, czy nie. Ręce mu podała. Młody człowiek przylgnął do takowych ustami. Coś mówiła ona, coś mówił on, lecz żarna taki sprawiały hałas, że słów ich słychać nie było. Jurek, głowę podniosłszy, miał łzy w oczach. Pani Krystynie łzy także w powiekach się skręciły. Wszystko to trwało chwilkę. Starościanka odetchnęła; zwróciła się, dłonią sobie piersi przycisnęła i za starym szlachcicem się udała.

Skierowali się od razu ku cerkwi, której wieże ukazały się im zdala. Przechodzili przez rynek. W mieście, pomimo pory wczesnej, panował już ruch wielki. Rynek zapełniony był przekupkami. Wszędzie uwijało się żołnierstwa mnóstwo w barwach różnych i w uzbrojeniu rozmaitem, piechotą i konno. Spotkali husarza, ze skrzydłami u ramion, w skórze tygrysiej na barkach. Spotykali pancernych, dragonów, kozaków i w mundurach barwnych piechurów cudzoziemskiego autoramentu. Spotykali szeregi pachołków prowadzących konie do wody, lub wracających od wodopoju. Gdy przechodzili mimo stajen, słyszeli stukanie zgrzebeł i szczotek, przy którem tu rozlegało się gwizdanie ówdzie nuta pieśni świeckiej lub nabożnej. Na rynku huczał gwar; przecisnęli się śród sprzedających i kupujących i weszli w ulicę, na której wznosiła się cerkiew. Na zapytanie, gdzie mieszka starosta buski, za dane przez jegomości, spotkany żołnierz od piechoty palcem jeno ukazał na dworek z ganeczkiem drewnianym. Na ganeczku żołnierze trzepali odzież i czyścili rynsztunek.

— W domu starosta?...—zapytał pan Maciej pachołka.

— Albo co?... — odparł zapytany.

— Chcielibyśmy się widzieć z nim...

— Ta!... Widzieć się z nim można... czemu nie...

W czasach owych, meldowanie, acz we zwyczaju już było, ale zwyczaj ten stosował się jeno do matadór. Śmiertelnicy zwyczajni nie wzbraniali przystępu przed oblicze swoje. Przytem pan Maciej wyglądał z waszecia; czuć nim było szachcica; drzwi przeto starosty nie mogły być przed nim zamknięte.

Drzwi otworzył, próg przekroczył — za nim, niby pod opieką jego, wsunęła się do izby starościanka i natychmiast, wysuwając się z po za starego, rzuciła się z płaczem do ojca, który na wejście ich powstał. Rzuciła się, do kolan się pochyliła i do nóg upadła.

Starosta poznał córkę od razu. Nie

schylił się jednak po nią; nie patrzał na nią; nie drgnął muszkuł żaden na obliczu jego; zwrócony twarzą do pana Macieja, zapytał go głosem, w którym się wzruszenie czuć nie dawało:

— Z kimże mam honor?...

— Maciej Małuski, herbu Jastrzębiec... do usług pana starosty dobrodzieja... — odparł jegomość powoli, niby ważąc wyraz każdy, w istocie zaś zastanawiając się nad rolą, jaką mu odegrać wypada wobec ojca, nie patrzącego się na córkę zgubioną i odnalezioną.

— Czemże mam służyć waszmości?...

— Przyjąć sercem ojcowskiem z rąk moich dziecko, które przez bardzo ciężkie przeszło koleje i wraca do ojca, jako do naturalnego swego przez Boga mu danego opiekuna...

— Dziecko nieposłuszne traci do opieki prawo... — odrzekł starosta twardo.

— Odzyskuje je, jeżeli jest nieszczęśliwem...

— Jak kto sobie pościeli, tak śpi... — wtrącił starosta.

— Jeżeli o przebaczenie do serca ojcowskiego kołace...

— Córce mojej pozostaje dziś jeno... kołatać do drzwi klasztoru, nie do serca mego, które ona zraniła boleśnie... Rana jednak się zabliźniła i skończyło się... Serce moje zamknęło się dla niej... klasztor otworem stoi...

Przy słowach tych starościanka powoli, o siłach własnych, od nóg ojcowskich dźwignęła się. Powstając, głowę do góry trzymała i w oczy ojcu patrzała. W oczach starosty świeciła niezłomność postanowienia. Pani Krystyna stanęła, cofnęła się o kroków parę i głosem od wzruszenia drżącym zawołała:

— Ależ ja związana ślubem małżeńskim, ojcze!...

— Kościół ma moc rozwiązywania... Postaram się w Rzymie o to... i jest to rzecz jedyna, którą dla wasani uczynić mogę...

Młoda kobieta ręce załamała, wyciągając je do góry z wyrazem rozpaczy najwyższej.

Pan Maciej głos zabrał.

— Mości starosto... — zaczął — ludzieśmy ułomni... Błądzi z nas każdy... Do ładu byśmy nie trafili, gdybyśmy jedni drugim, zwłaszcza zaś rodzice dzieciom, błędów nie przebaczali... Powiedziano jest: ciśnij kamień, jeżeli się poczuwasz bez winy... Kto wie, mości starosto, ażali zgryzota ta, jaką waszmości córka sprawiła, nie przyszła na waszmości jako zapłata za zgryzotę, jaką waszmość sprawiłeś rodzicom jakim... Przypomnij sobie jeno, mości starosto...

Starosta brwi zmarszczył, wyprostował się i z wyrazem lekkiego w oczach zdziwienia na spokojnie mówiącego pana Macieja patrzał.

— Przypomnij sobie jeno, mości starosto... — mówił tenże — wejdź w sumienie własne... Życie twoje pełnem jest zasług względem rzeczypospolitej... Narażałeś je... Bywałeś w niebezpieczeństwach wielkich... w Kudaku, naprzykład, kiedy wpadłeś w ręce Szpaka i on cię na futor Bandury zaprowadził... następnie zaś pod Kumejkami, kiedy tenże Szpak stos dla ciebie sposobił...

Starosta brwi mocniej zmarszczył.

— Bywałeś w niebezpieczeństwach wielkich... zasłużyłeś się wielce: przypomnij sobie jednak, czy nie ciąży na tobie wina jaka, nakazująca ci przebaczenie dziecku własnemu, które ostatecznie dopuściło się względem ciebie nieposłuszeństwa, ale ani się zesromociło samo, ani też zesromociło imię twoje?...

Starosta wybuchnął.

— Tak?... — zawołał. Ma to być tak?... Kudak... futor?... Nie uznaję jurysdykcji osobliwej, do której się waszmość odwołujesz!... Córka moja nie zesromociła siebie, oddając na przekór woli mojej rękę swoję świerczale?... nie zesromociła imienia mego, dając mi za zięcia człowieka, którego nazwisko przypomina topór kata?... Łoboda?... Łoboda?... Łobodzina Łączyńska z domu?... Nie!... Łobodzinie takiej chodzić powinno nie o przebaczenie, ale o ukrycie hańby, jaką siwe ojca włosy okryła!... Ja z Łobodziną Łączyńską z domu ani wspólnego nic mieć, ani znać jej nie chcę!... Klasztor!... klasztor!... — dokończył w irytacji wielkiej.

Po chwili dodał:

— Slubów rozwiązanie biorę na siebie...

Jegomość spoglądał z ukosa na starościankę, która w czasie, gdy mówił on i w czasie gdy mówił starosta, pozostawała jakby pod wpływem porażenia paralitycznego. Przy ostatnich ojca wyrazach drgnęła, głową pokręciła i cicho, głosem wzruszeniem nabrzmiałym, ale z mocą rzekła:

— Nie... ja ślubu tego łamać nie mogę...

Starosta odsapnął z głębi piersi.

— Więc, mości starosto?... — zapytał pan Maciej.

— Rzecz skończona... — odparł zapytany.

W chwili tej pani Krystyna cofnęła się ku drzwiom i do sieni wyszła.

— To niegodnie! — odezwał się pan Maciej półgłosem, ale z naciskiem mocnym — mieć na sumieniu topielicę i nie przebaczyć córce własnej!...

— O!... — krzynął starosta gniewu pełnym głosem, postępując naprzód.

Nie miał już jednak mówić do kogo, pan Maciej bowiem, jakby przeczuwał co niedobrego, szybko wyszedł i, nie znalazłszy już starościanki w sionkach, na ganek pośpieszył. Na ganku nie było jej także. Stary szlachcic, nie zatrzymując się dla rozpytywania żołnierzy o kierunek w jakim się udała, wybiegł na ulicę i wnet zoczył ją w dali, uchodzącą biegiem prawie. Puścił się za nią. Staremu nawykłemu powoli przy gospodarstwie chodzić, nie sporo szło. Podjął poły od żupana i pośpieszał, co mu tchu starczyło. Młoda kobieta, wyszedłszy z ulicy, wzięła się w prawo, ku wybrzeżom Bohu. Jegomość kroku przyśpieszył, biegiem ruszył i nieopodal od przerębla, ku któremu wprost zmierzała, za ramię ją pochwycił.

— Bój-że się Pana Boga!... — zawołał. — A!...

I wydychiwał się, w oczy jej patrząc.

— A!... o!... Jeszcze co!... Chodź!...

Za rękę ją ujął i poprowadził ze sobą powoli. Młoda kobieta oporu nie stawiała najmniejszego. Szli milcząc, aż gdy o kroków kilkanaście od mieszkania już byli, jegomość zatrzymał się i przemówił:

— Do króla!... udać się należy wprost do króla... Czy pójdziesz?...

— Cóż król zaradzi?... — odrzekła z uśmiechem bolesnym.

— Wedle małżonka twego w niewoli tatarskiej...

— Ach!... mój Boże!... zapomniałam o nim!... — zawołała.

— Zapomniałaś i o nim, i o sobie, i o Bogu... — Podchwycił stary, podnosząc palec i grożąc takowym.

Pani Krystyna głowę spuściła i westchnęła.

— Pójdziesz więc do króla?...

— Pójdę... — odrzekła. Pójdę!

— Dobrze więc... Chodźmyż do domu... odpocznij sobie nieco... może się położysz?... a ja tymczasem udam się na zamek, ażeby się rozpytać, gdzie i kiedy z królem jegomością widzieć się można...

Młoda kobieta nic nie odrzekła na to. W milczeniu próg przekroczyła i udała się pod zasłonę, gdzie pościel jej leżała, uklękła, dłonie złożyła i w modlitwie się pogrążyła, modląc się nie słowami, ale myślą, intencją i łzami, które jej po policzkach strumieniami płynęły. Wkrótce później położyła się i zasnęła.

Postępek z nią starosty, tłumaczy się z łatwością wielką. Był to i ojciec kochający i człowiek uczciwy, ale szlachcic — szlachcic pod względem wyobrażeń, stojący na równi z całą szlachecką bracią, przesiąkłą na wylot przesądami kastowemi, które potęgowało wychowanie, w jakiem w czasie owym wyrastały pokolenia. O wychowaniu owoczesnem posiadamy świadectwa autentyczne. Po szkołach wszczepiano w dzieci zasady rodowe, któremi się one następnie w życiu całem kierowały. Szlachta była niby równą w łonie własnem, na papierze jednak tylko. Wielcy panowie pomiędzy sobą, panowie pomniejsi pomiędzy sobą, szaraczkowy gmin pomiędzy sobą, stanowili koła ściśle zwarte, przekraczania których broniły przekonania z mlekiem wyssane. Nie przekraczało się ze sfery do sfery bezkarnie. Równość panująca, była to równość polityczna, zamykająca się całkowicie w sferze życia publicznego. Brat szlachcic zagonowy, szlachcic świerczała, skartabelatka, bratem był wojewodzie, kasztelanowi, staroście, karmazynowi w ogóle, na sejmiku, w trybunale, na polu elekcyjnem, za stołem biesiadnym, ale nie wobec stosunków familijnych, w których panowała dynastyczność skrupulatnie przestrzegana. Trafnie Chmielnicki panów polskich przezwał królewiętami. Byli to królewięta, w rzeczywistości przestrzegający dostojności rodu *usque ad finem*, bez względu na nic, ani

nawet na dobro publiczne. Duma rodowa, rzecz prosta, szła w parze z fortuną — łamała ją ruina majątkowa; póki jednakże takowa nie nastąpiła, broniono progów rodzinnych, niby świętości jakiej.

Starostę przeto do głębi poruszył ten fakt, że próg jego rodzinny przekroczył świerczała. Wiadomość o zdarzeniu tem doszła go w Busku, w dni kilka potem, jak się mu Prokop przedstawiał. Zabolał mocno, jak ojciec boleć może nad utratą dziecka ukochanego. Ani przypuszczał, ani przypuszczać chciał, ażeby zajść kiedy mogły okoliczności, zwracające mu dziecko. Gdy przeto Krystynę ujrzał przed sobą, postawił się względem niej nie jako ojciec, ale jako człowiek wskazujący kobiecie mu obojętnej drogę jedyną. Jedyną reminiscencją ojcowstwa stanowiło wzięcie na siebie sprawy zerwania węzłów ślubnych, jakie ją z Prokopem łączyły. Był tego przekonania, że czyniąc to, czyni więcej niż powinien. Klasztor wydawał mu się środkiem jedynym salwowania honoru zesromoconego. Gdy starościanka wyszła, gdy wyszedł pan Maciej, począł krokami szerokiemi po ciasnej krążyć izbie, brwi zmarszczył, gniewne wyrazy rzucał, w końcu rzekł:

— Powróci ona jeszcze... Jeżeli zaś nie powróci... ha!...

Wykonał giest, oznaczający: »nie moja wina.«

Następnie, wciąż po izdebce krążąc, rozmyślał nad brzegami Dniepru, nad którem stał futor Bandury, i ramionami rzuciwszy, znów rzekł:

— Nie moja... — tu się zająknął, nim powiedział — wina...

Jegomość, nim na zamek się udał, zasięgał niektórych u krupiarza informacyj, co do których nie miał potrzeby taić przed nim, że się chce z królem widzieć.

— Rżnij waszmość wprost i o nic nie pytaj...

— Tak... ale... Rżnij... gdzie i którędy? — zapytał pan Maciej.

— Wprost przed siebe... przez bramę na podwórzec, a z podwórca na zamek... Jeżeliby kto waszmości drogę zastąpił... po zębach go! i szuruj dalej... Na zamek ten wolno chodzić każdemu, szlachcicowi zwłaszcza, od czasów kniazia Kapusty... Co bym się tam pytał kogo o co!...

Informacja ta, niekoniecznie dokładna, nie wiele pana Macieja nauczyła. Poznał jeno, że trzeba się będzie dowiedzieć na miejscu i może razy parę powrócić, zanim się przystęp do króla otworzy. Oczyścił więc żupan na sobie, związał pas, przyczepił do boku karabelę i wychodząc, skinął na Jurka i takie mu w ucho wyrazy wsunął:

— Miej-no ty panią Łobodzinę na oku, ażeby sobie, broń Boże, złego czego nie zrobiła...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Na południu rzeźbiono nagich ludzi z marmuru, na północy rzezano ludzi przyodzianych z drzewa. I ztąd poszło, że na południu istniało rzeźbiarstwo, a że się snycerstwem czas długi obchodzono na północy. W tym względzie nie było w Niemczech odrodzenia i nie naśladowano klasycznych wzorów przed późnemi czasami erudytów takich jak Winkelmann i Lessing. W Norymberdze nad Menem i w Bazylei nad Renem wyrabiano niby lalki z drzewa lakierowanego i malowanego i sztuka była kunsztem i ledwie nie rzemiosłem. O harmonji ludzkiego ciała i matematyce draperji nie wiedzieli nic snycerze z Niemiec i Polski, i myśleli tylko o tem, jakby oddać rycerzy i mieszczan widywanych na rynkach swojskich miast. Jak Rzymianin rzeźbiarz tak snycerz niemiecki chciał tylko naturę naśladować, ale brakło mu sprężyny co Rzymianinem poruszała, wielkiego patrjotyzmu starożytnej Romy. Nie chciał panów świata uwiecznić, chciał poprostu pochwalić się tem, że zna dobrze swój kunszt, że umie zręczniej od małpy naśladować naturę. Mieszczka w czepcu, rumiana i pyzata, rycerz sztywny na koniu, i mnich podsadkowaty wychodzili z jego warsztatu tacy jak ich Bóg stworzył i jak ich krawiec przyodział, z brodawką na twarzy, z okularami na nosie, z wielkim brzuszkiem, z ciasnemi spodniami, albo ze zbyt obcisłym stanem. Tylko były to figury mniejsze od żywych i mimo wszelkiej pilności niedoświadczonych północnych majstrów, sztywne jakieś i niezgrabne i brzydsze od żywych. Brał kupiec albo prałat w ręce figurę, i patrzał na nią ciekawie, i śmiał się. Tak poważnie siedziała figura owa jakby personat nie lada, a jednak była tak śmiesznie niezgrabna i drewniana; albo miotała się niby a nic zrobić nie mogła. Patrzał na to prałat lub kupiec i czuł, że jest przecie coś więcej wart od owej figury mającej przecie stanąć na grobowcu lub oltarzu. I tak mu się podobała ta wyższość jego i owo zwierzchnictwo, że odtąd niechciał innych figur nad śmieszne i przesadne. To wymaganie dało odtąd piętno sztuce, i powstało rzeźbiarstwo często bezbożnie komiczne, w którem zły pachołek, Judasz i djabeł główną odgrywają rolę. I choć się potem i kamieniem i spiżem posługiwano, nie odstąpiono od karykaturalnego założenia. Kto chce się o tem przekonać, niech idzie do świętego Szczepana w Wiedniu i niech stanie pod kazalnicą, i niech spojrzy na jej dziwną łodygę. U góry jest wieniec kapliczek gotyckich i w każdej kapliczce siedzi jakaś figura nad miarę śmieszna i brzydka, tłusta albo koszerlawa, w imfułę, albo kardynalski kapelusz, albo wielki czepiec przebrana, co niby nabożna i przeto wykrzywia nieforemne łapy, i oczy wybałusza jakby żaba wieczorem, albo kaczka w słotę. Figury te rzeźbione jakby na to tylko, aby drwić sobie z kościoła i nabożeństwa, i aby każdy zdrowy widz cieszył się ze śmiechem tem, że więcej wart od tych figur.

Pod niemi, jakby okno w kazalnicy otwarte, i z okna wygląda w okrągłej czapeczce, ogolony a nie młody mieszczanin niemiecki — całkiem jakby żywy. Najadł się, napił, wyspał i w świat patrzy. Gdyby nie był z kamienia byłby to mąż wcale przyzwoity, ale nikt nie wytłómaczy śmiesznej arogancji, co mu kazała uwiecznić twarz tuzinkową. Że z kamienia więc i on kamienny.

Bluźniercze to ironiczne snycerstwo, zaledwo godne imienia sztuki, choć dowodzące niemałej palców biegłości. Zrodziły je trzy rzeczy. Najpierw, niegdyś chęć oglądania namacalnego Boga i świętych — a potem już tylko chęć popisu majstrów i żądza śmiechu u publiczności. Możebym o niem nie wspominał, gdyby nie to, że z tego snycerstwa zrodziło się malarstwo nad górnym Renem, i że malarstwo owo wydało przecie Holbeina, słusznie i po dziś dzień przez wszystkich podziwianego.

Niemieckie malarstwo miało dwa punkta centralne. Frankonję z Norymbergą, i Szwabję z Bazyleą. Frankońska szkoła miała więcej mistrzów, a bodaj czy szwabska nie zasłużyła na nierównie większą chwałę.

Najpierwszym już na prawdę malarzem we Frankonji jest Grünewald, a jego arcydzieło znajduje się w katedrze Bamberskiej. Arcydziwna to kompozycja, na którą patrząc, myślisz, że artysta miał przed sobą dzieło malowane snycerza, i ową rzeźbę drewnianą odmalował. I niech to co tu mówię już i na przyszłość posłuży. Niemcy zawsze w piętnastym i szesnastym wieku tak malowali jak gdyby kopiowali drewniane figury. Wszyscy tak czynili, z wyjątkiem jednego tylko młodszego Holbeina.

Stoją tu tedy wśród drewnianego krajobrazu drewniane figurki bez liku w drewnianych ornatach, i pną się do góry, stojąc sobie wzajemnie po nad głową, i wszystkie zarówno na pierwszym planie i bez śladu perspektywy. Wśród nich zwisł na całunie krzyż z nagim Chrystusem.

Nietrudno tu poznać ducha tego samego narodu, co tworzył po wieżach gotyckich misterne kamienne koronki i po wszystkie dnie swoje kochał się w sztuczkach i drobnostkach. Mnóstwo laleczek dobrze wykonanych, sztywnych i bezmyślnych, ale malowanych nadzwyczaj akuratnie, stoi tu, i nie wiedzieć dlaczego sądzisz, że ten obraz z warstatu wyszedł a nie z pracowni, i przypominasz sobie, że ów kunszt północny był cechem niewiele różnym od innych cechów, i że malarz nie miał się za nic lepszego od krawca i piekarza. Figury ustawione regularnie, wystawione namacalnie, ujęte w ład pewien, maleńkie, z drzewa niby dłubane, o rysach regularnych, podług pojęć ideału — ot i wszystko.

I tak malował i Albrecht Dürer, uczeń Grünewalda, choć był w przyjaźni nawet z Rafaelem i choć go bardzo i we Włoszech sławiono. A jednak — przychodził na niego czasem wielki wiew odrodzenia i tworzył na większe rozmiary i z większem sercem. Najlepiej się przekonasz o tem w monachijskiej pinakotece, gdzie zostały po Dürerze dwa obrazy, może najlepsze. Na jednym widzisz Piotra i Pawła. Obie postacie, zawsze niby z drzewa rzezane, ale święty Piotr w pełnem świetle występuje naprzód i wystaje cały na kanwie, jakby piękny drewniany posąg, pięknie i poważnie wykonany. Gdyby nie sztywność zwykła Dürera, byłby to Bóg grecki albo święty Rafaela.

Na drugim obrazie Dürera wybuchło w całej pełni uczucie traiczne, ujęte w klasycznie piękne ramy. Trzeba o niem mówić, jak się o arcydziełach mówi. Matka boska w tradycyjnej draperji i z tradycyjną idealną a młodą twarzą całuje nad wyraz piękne nagie ciało umarłego Chrystusa w twarz. To Niobe chrześcjańska, to pierwsza zapowiednia przyszłych madon Flandrji. W tym całusie cała dusza matki. Chciałaby syna wyrwać śmierci—pocałunkiem. Ten całus zda się światu mówić: „Jak śmiałeś, niegodziwy, wyrwać mi syna? Nad innych był piękny, nad innych był dobry, jak złoto od miedzi, tak on różnił się od ludzi. I zazdrość was wzięła, i targnęliście się na niego, i wyrwaliście mi skarb z pod serca, klejnot z duszy. Czyż potraficie mi dać coś w zamian? Nie! Ale nie potraficie mnie oderwać od niego. Śmierć was straszy, śmierć wam wstrętna. A patrzcie oto, jaka ona piękna! Lgnę do śmierci syna mego. Patrzcie jak go w zimne całuję lice. O nie, synu! Nie opuści cię matka; zostanie przy tobie. Świat był zły i zabił cię, boś był lepszy od świata. Ale ja cię pocieszę. Jak niegdyś z dzieciątkiem, popieszczę się z tobą, jak niegdyś dzieciątko w czoło pocałuję. Ale dłużej, o dłużej! Nie dam cię zanieść do grobu. Boś ty mój, pociecha moja! Cóżbym robiła bez ciebie?“

Tak mówi boleść z tego obrazu, a ty współczuwasz i wzmagasz się i dwoisz współczuciem. Północ uderzy może mniej mistrzowską ręką, ale uderzy w te same struny, w które niegdyś dzwonił Greczyn Skopos, i litość wzbudzi i trwogę. A gdy zechce, potrafi być słodką jak Praksiteles, jak Parmeńczyk *Coreggio.* Nie często to się trafi sztywnej Niemce Norymberdze, ale trafi się kilka razy w życiu człowieka, co całe życie darmo za wdziękiem gonił: Łukasza Kronacha.

Bóg raczy wiedzieć, zkąd się wzięły u biednego Łukasza słoneczne marzenia południa. I Dürer i Grünewald umieli malować nagie ciało męzkie, jakby z drzewa, ale plastyczne i dziwnie dokładne, gdy wyobrażali umarłego albo umierającego Chrystusa, ale jeden tylko Kronach zakochał się w krągłych linjach ludzkiego ciała i chciał ciągle malować Ewy i Adamów, i nawet klasyczną Wenerę. Rytm szatami okryty przed okiem północy przeczuwał Kranach i gonił za nim, i chciał go odtworzyć, ale nie mógł. On pierwszy w Norymberdze robił to, co on robił i zrobić nie mógł, bo nie miał szkoły i doświadczenia, bo klimat mu przeszkadzał i przeszkadzała natura. Zostały tylko jego obrazy jako dowód, że i Niemcy były tkliwe na piękno tak ukochane na południu. Ale są to usiłowania tylko długie, chude, niepewne, a mdło uśmiechnięte, i niepięknie zaczesane. Niecierpliwią krągłe nic nieznaczące niemieckie twarzyczki na nagich, wątłych ciałach. Nie masz przed sobą bogiń Olimpu, masz Niemeczki, co wykroczyły przeciw obyczajowi ojczyzny, rażąco nieprzyzwoite, i co pokazują, to co w Niemczech chować winne, choć z pewnością nie mają czem się pochwalić.

Ale miłośnik kobiet spotkał się naprawdę parę razy w życiu z ich wzrokiem i z owym wdziękiem miłosnym, co przyciąga i podbija. Gdy chcesz się o tem przekonać, pójdź we Wrocławiu do katedry katolickiej, a zobaczysz na jednym z ołtarzy dziwnie uroczą madonę, co się wśród sosnowego boru uśmiecha mistycznie do dziecka. Ona wyszła niby z rąk Lombardczyka Luiniego. Tylko sosny, co niby wyrobione w sklepie norymbergskich zabawek, mówią, że ta matka o płowych kędziorach i niezrównanym uśmiechu, tworem naiwnego Kranacha.

Tyle o Norymberdze. W Bazylei wyszukamy jednego tylko mistrza; ale tym mistrzem będzie Hans Holbein młodszy. A popatrzymy się tylko na dwa obrazy Holbeina i to nie w Bazylei, jeno w Dreznie; ale obrazami temi Madona Darmstadzka i portret angielskiego zegarmistrza Thomasa Moretta, Madonna jest to Niemka w aksamitnej ciemno zielonej sukni, modnego naówczas kroju, opasana jasno czerwonym pasem. Piękne jej, płowe, długie włosy spływają jej na ramiona, a wysokie czoło i wątła cieniutka szyja przypominają cnotliwe, spokojne żony i matki. Twarz zresztą cicha i piękna, ale nie ma nic nadzwyczajnego w tej młodej postaci. Klęczą dokoła jacyś Niemcy i Niemki jakieś, poubierani niezgrabnie, sztywni i brzydcy. Piękne bardzo dziecko bawi się z nimi u dołu, całkiem nagie, a Madona trzyma miłośnie w ręku drugie, podobnież nagie, ale zchorzałe i skrzywione dziecko.

Legenda to rzewna. W nabożnej ziemskiej rodzinie zachorowało dziecko, a Matka boska przyszła do tej rodziny spokojnie, podobna do niewiasty a nie do niebiańskiego zjawienia i podjąwszy dziecko z ziemi przytuliła je do siebie, a swoje dziecko, Chrystusika oddała w ręce wiernym ludziom, z którymi się bawi.

Żaden malarz nie pokazał ni pierwej ni później takiego zbratania bóstwa z człowieczeństwem. Jeśli bóstwo tu jeszcze ponad ludzkość góruje, to dlatego, że ludzkość przed niem się zniża. Matka boska nie unosi się tu w obłokach i nie zasiada na tronie. Ludzie tylko ukorzyli się przed nią klękając, ale ona i dziecko jej zestąpiły do nich cicho i spokojnie, piękniejsze od ludzi, ale umyślnie pozbawione niebiańskiego majestatu. Jest to ewangelja ludów północy, w której bóstwo się cicho zniża do ludzkiej nędzy, i łzy ociera. Obraz ten nie mówi o szczęściu, jedno o pociesze. „W troskach waszych nie zapomina o was Bóg!“ woła to malowidło. I wiedział malarz, że jemu uwierzą, że wszyscy dzielą jego przekonanie, bo nie masz zachwytu na twarzach zaszczyconych boskiemi odwiedzinami. Klęczą, bo klęczyć powinni, ale nie zdziwieni i obojętni. Wiedzą, że słabość ich jest mocą, skoro Bóg i Matka Jego opiekują się słabością ową, jeźli z nią obcują.

W tym obrazie jest piękna legenda na zimno opowiedziana. Ale darmo się w obraz wpatrujesz. On ciebie nie wzruszy, bo nie widzisz w nim ani uczucia ani ideału. Chyba jedno tylko miłosierdzie maluje się na twarzy madonny. Tylko kolor i wykonanie zwracają na siebie uwagę. Jest to coś ostrego, wybitnego, krającego. Każda linja każda barwa pociągnięta ręką pewną, twardą, nieubłaganą i to cię przykuwa do obrazu. A jeśli się chcesz lepiej o tem przekonać, spojrzyj obok na Tomasza Moretta. Tu przedmiot najzwyczajniejszy, a jednak obraz przecudowny, który cię silniej może do miejsca przykuje od Madonny. Główną zaletą Holbejna technika, a w Madonnie szukałeś jeszcze czegoś innego, w Moretcie wystarcza technika sama, i nadaje twarzy jego estetyczne piętno.

Najpierw zdaje ci się, że ten kto to malował był silnym nad miarę i podziwiasz Holbejna siłę, a potem siła ta udzieliła się Morettowi i podziwiasz Moretta. Myślisz, że to był człowiek wielki i nie uwierzysz gdy ci powiedzą, że był pospolitym zegarmistrzem. Stoi przed tobą po pas, w czarnym malowniczym stroju szesnastego wieku, z czapeczką na głowie i sztyletem przy boku. Siwy już, ma grube brzydkie rysy i szare przygaszone oko, ale jest postacią nadzwyczajną. Myśl nieugięta, wola wytrwała napiętnowała mu twarz zmarszczkami i pokierowała linjami ust. To była wola Holbejna, ale ty myślisz, że to była Moretta wola i sądzisz, że ten człowiek nigdy się nie chwiał i nigdy nie cofał i zawsze wiedział czego chce. Patrząc na niego przypominasz sobie ile to razy tyś się chwiał, ile razy chwiano się w koło ciebie, i zdaje ci się, że podniesiona natura ludzka tem, że są w niej ludzie tak niezłomni jak ów Morett, i żeś ty sam podniesiony nad poziom przez to, że patrzysz na Moretta. Udziela się tobie jego wola, i mocniejesz nią i wzmagasz się.

Z Holbejnem tedy wzmagała się sztuka Niemiec. Malarstwo ich przeżyło budownictwo o lat kilkadziesiąt, ale umarło wkrótce zabite przez to samo tchnienie z południa. Człowiek żyć powinien nad Śródziemnem morzem, i tam powinien i może uczuwać pełne piękno. Na północy przedewszystkiem lęka się cierpienia, lęka się brzydoty, i zadawalnia się ujemną zdobyczą — pokojem, do którego mróz nie dosięga, a w sztuce przyodzianą ciepło postacią co nie uległa ludzkiej nędzy. Ideał, moc cielesnego piękna i duchownej wszechmocy zjawiły się śmielszemu oku południa, a gdy sztuka Niemiec spotkała się z nagością Florencji, z barwą Wenecji, i z idealizmem nowożytnego Rzymu, poczuła się pokonaną, maluczką, opuściła pędzel z ręki i zaczęła naśladować jak żak jaki. Straciła wszelką samoistność, przestała być z samą sobą w zgodzie, nie umiała być klasyczną, przestała być naiwną, i obumarła nagle, na długie wieki. A szumny Ren popłynął dalej poprzed niedokończone katedry i opuszczone obrazy, na północ, Żuławy, gdzie po chwili niedługiej malarstwo północne zmartwychwstało w osobie Piotra Pawła Rubensa, nauczywszy się na południu wszystkiego, a dodawszy do tego myśl niedostrzeżoną okiem ciała jedno okiem duszy, nie na zewnątrz, jeno wewnątrz człowieka. Patos ogromny powstał tworząc dramat na płótnie i Skopas zmartwychwstał wśród mgły północy, ale rzeźba była trajedją krótką i prostą, malarstwo stworzyło dramat rozmaity i wielobarwny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAPONJA

przez

K. SKAŁKOWSKIEGO.

Obecny stan Japonji; reformy; skutki najazdu nieproszonych dobrodziejów; stronnictwa polityczne; powody rewolucji. — Wpływ reform na stan ekonomiczny; wyzyskiwanie bezczelne Japonji przez cywilizatorów. — Ogólne niezadowolenie, opozycja, prasa, kluby, adresy, porównanie z Polską. — Nagasaki. — Oryginalne fiakry. — Kolonja rosyjska.

(Ciąg dalszy.)

Obok opozycji zwolenników dawnego ładu, powstała inna jeszcze opozycja, nibyto liberalna, orężem zaś jej jest prasa. Kto naprzykład da wiarę, że w jednym tylko 1879 roku, powsta-

ło w Japonji 236 *nowych* pism perjodycznych, z których wprawdzie 80 nie długi czas żyło, nie wytrzymawszy „walki z obojętnością publiczną.“ Jeśli weźmiemy na uwagę, że w tymże samym roku w Japonji, której ludność według statystyki urzędowej dosięga 33 miljonów, a naprawdę wynosi tylko około 20 — wyszło 5.317 dzieł różnych, i że wszystkie prawie bez wyjątku kobiety umieją czytać i pisać, to wtedy dopiero pojmiemy, jaki to musiał być kraj „barbarzyński“ ta Japonja, którą zamierzył ucywilizować coute-que-coute najazd europejski!

Prawie wszystkie dzienniki opozycyjne i radykalne: *Akebono Czymbum, Jomiuzy Czymbum, Ossaka-Nikko* itd. cieszą się większą ilością abonentów, aniżeli umiarkowane: *Nitczy-Nitczy Czymbum, Gotczy Czymbum, Czoja Czymbum* i inne. Prasa obecnie wymaga od rządu zwołania parlamentu, który według jej zdania jest jedynem skutecznem lekarstwem na wszystkie rany, zadane przez rewolucję i europejski najazd. Powyższej agitacji dzienników dopomagają kluby polityczne, które jak grzyby po deszczu, wyrosły nagle po wszystkich zakątkach kraju. Samo jedno stowarzyszenie ossackie miało 10.000 członków; rząd je zamknął. Adres podany do rządu przez wzmiankowane stowarzyszenie, jest nader ciekawy. Jestto kompilacja frazesów zapożyczonych od wszystkich radykalnych publicystów europejskich, a w porównaniach sięga aż do Polski, z wieku XVIII, dowodząc, że Japonję niechybnie spotka los Polski i będzie rozebraną. Następnie adres bez ceremonji wytyka mikadzie — o niby to bozkiem pochodzeniu którego wprost od samego słońca dzienniki dzisiaj już otwarcie bardzo ironicznie piszą, że obiecał był przy wstąpieniu na tron wytępić wszystko złe, jakie się zakradło, a właśnie jego nieograniczona władza jest największą plagą dla kraju, a zatem czy nie łaska zwołać parlament? Taką to zwrotką na temat parlamentu, kończy się każdy punkt adresu, niezmiernie długiego.

Nawet gminy wiejskie wysyłały adresy z domaganiem się parlamentu. Rząd pod rozmaitymi pozorami niechce przyjmować tych adresów, ale już w wyższych kołach rządowych mówią o parlamencie, i jak słychać mikado gotów jest zwołać niewielką „paplarnię.“ Nie sposób inaczej nazwać przyszłego parlamentu w kraju, w którym ludzie, którzy przywykli do rządzenia i znają dobrze sprawy państwowe, zostali przez rewolucję odsunięci od wszelkiego wpływu, a lud nie jest zdolny do jakiejbądź czynności politycznej, będąc przez całe wieki od niej oddalony. Sam widok każdego japońskiego miasta — w którym nie ma ani jednego placu, ani jednej publicznej instytucji — wskazuje dostatecznie jak trudnem byłoby zastosowanie do podobnego kraju urządzeń na sposób angielski i że parlament w nim stałby się odrazu, albo igraszką w rękach rządu, albo narzędziem kilku zręcznych intrygantów w gatunku tych, którym w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej nadano pogardliwe miano „polityków“. Już i teraz ster rządu znajduje się w ich rękach, i jeśli machina administracyjna pod ich kierownictwem jako tako dotąd trzyma się i idzie, to dzięki tylko walkom nieustannym drobnych politycznych kółek. W gruncie rzeczy administracja ta, jako nie wyszła z tradycji narodu, nie ma też z nim nic wspólnego, i jest nielubianą.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa rząd rzuci na odczepne jaką szumnobrzmiącą nazwę bez treści, i natem będzie koniec. Już nieraz, przyparty do ściany, czynił niby to jakieś ustępstwa. I tak w roku 1868 zwołanem było pod szumną nazwą „Zy-dży-in,“ coś w rodzaju zgromadzenia „urządzającego,“ lecz wkrótce zostało rozwiązanem, a w roku 1875 sformowano znów „Zen-ro-in“, tj Radę państwową, coś w rodzaju rossyjsko-carskiej, jak zapewniają Japończycy — ale Radzie tej nie dają najmniejszej sprawy do załatwienia. Obok niej istnieje jeszcze „Sziokcin-kajdży“, przezwany izbą poselską, ale członkami tej przesławnej Izby, są *wyłącznie* panowie gubernatorowie prowincji! Jakiekolwiekby zresztą instytucje nie wymyślał rząd teraźniejszy, przyszłość jego nie mniej pozostanie niepewną. Nie obejdzie się bez nowych przewrotów. Takie jest przynajmniej zdanie ludzi poważnych i trzeźwo spoglądających na stan rzeczy, nietylko krajowców, ale i bezstronnych Europejczyków.

Dość jednak tego i tak już długiego prologu. Przechodzę do opisania tego com widział, przyczem kwestje polityczne same się nastręczą w sposób naturalny. Nagasaki, którem trzykrotnie zwiedził, jest miastem najlepiej znanem Europejczykom. Tu na wyspie Decyma, nie większej nad cztery morgi, Holendrzy już przed 200-u laty osiedli, a osiadłszy, pomimo zakazów potrafili wejść w stosunki z krajem, i opisali go bardzo dokładnie. Dziś Holendrów na Decymie prawie nie widać; nawet ich konsul nie jest Holendrem lecz Żydem z Hamburga; Żyd ten zarazem jest też prawie jedynym bankierem w Nagasaki. Handel Nagasaki z Europą z każdym rokiem coraz więcej upada; dziś tylko dla nabrania węgla wstępują okręty do jego portu, a to z powodu taniości, wynikającej z blizkiego sąsiedztwa kopalń w Takosimi, Karatza, Mike, Imubuko i w innych miejscach.

A jednak natura, zdaje się, jakby umyślnie stworzyła Nagasaki do odegrania wielkiej roli w świecie handlowym, tak szczęśliwem jest jego położenie. Nagasaki bowiem leży w środku krzyżujących się dróg pomiędzy Chinami, Japonją, Koreą, Sachalinem i Nadmorską prowincją Wschodniej Syberji. Zatoka w Nagasaki posiada odwieczną sławę z powodu swej obszerności i bezpieczeństwa, a wyspa Kiusu, której Nagasaki jest portem, należy do pierwszorzędnych prowincji pod względem rozwoju ekonomicznego jak i umysłowego. Wyspę Kiusu można nazwać stolicą przemysłu japońskiego, mianowicie fabryki porcelany są na niej najlepsze, a większa część dzisiejszych pseudo-reformatorów także pochodzi z Kiusu.

Wszyscy bez wyjątku podróżni nie mogą się dość nachwalić Japonji, a szczególnie młodzi. Dla nich, jest to prawdziwy przytułek szczęścia i rzeczywiście trudno jest wskazać kraj któryby odrazu, jak Japonja, wywierał tak miłe na zwiedzającym wrażenie. Widok Nagasaki z morza przedstawia się prześlicznie, Otoczone górami, pokrytemi bujną roślinnością i polami zasianemi aż do samego szczytu, składa się z dwóch części: europejskiej i właściwego miasta, które jest czysto japońskiem. Pełno ogrodów, słońce jak w Sycylji, morze i balsamiczna woń krzewów w powietrzu rozlana, pieści wszystkie zmysły człowieka. Nawet stroma Panenberg, kąpiąca skały swe w modrych falach oceanu, wydaje się piękną i człowiek pomimo woli zapomina, że z tej góry strącono niegdyś do morza 30.000 chrześcian za jednym razem. Czasy się zmieniły, i dziś jakby dla odwetu wieże kościołów chrześciańskich dumnie wznoszą swe krzyże po nad całem miastem. Miasta japońskiego, pomimo iż położone tuż za częścią europejską prawie nie widać. Jak wszędzie tak i tutaj świątynie buddyjskie wdarły się na wierzchołki gór, ale że otoczone gajami, więc zdaleka wydają się jak zwykłe budynki.

Doskonale opisał zatokę nagasakską p. Gonczarow, w swojej „Fregacie Palada,“ bo miał też dość czasu przypatrzyć się jej dobrze, cały miesiąc czekając na pozwolenie udania się na ląd stały. Porównywając opis Ganczarowa z obecnym stanem miasta, okazuje się, że przez ostatnie lat 25 rozrosło się ono bardzo i nie dziw, bo w Japonji przez ten przeciąg czasu wszystko się zmieniło, począwszy chociażby od panów urzędników, udających się z miasta na spotkanie zawijających do portu okrętów. Niedawno byli to jeszcze prawdziwi Japończycy w chałatach jak należy, z wygolonem ciemieniem z dwiema szablami za pasem i nożem, także za pas zatkniętym, przeznaczonym do płatania brzuchów — dziś, ani ich poznać! Dziś są to już zwykli szablonowi urzędnicy na wzór europejski, w czapkach z różyczkami, w rękawiczkach, w mundurze i przy szpadzie, wtykający do rąk przyjezdnych cały pęk drukowanych regulaminów, i z wielką ochotą przyjmujący zaproszenie na obiad, na którym nie gorzej jedzą wszystkie potrawy, nie mniej chętnie popijają wódkę, jak pierwszy lepszy przybłęda z Europy.

Wielkie jeszcze szczęście, że przynajmniej „fune“, tj. łódki na brzeg przewożące, zachowały oryginalną swą postać. Taż sama panuje, co dawniej, wielka na nich czystość, pomimo, że służy ona jako dom dla wioślarza, który przez cały rok mieszka na niej i gotuje jeść sobie, i tak samo jak przedtem zręcznie macha krzywem wiosłem. Pojąć łatwo, że dziś nie trzeba całemi miesiącami czekać na pozwolenie wylądowania. Nie minie pół godziny od czasu zarzucenia kotwicy, a już fune wysadza cię na jedne z licznych schodów wybrzeża, kamieniem ocembrowanego.

Tu trzeba się przygotować na atak fiakrów, ale fiakrów również specjalnie japońskich, zwanych „dżynrykczami“, bardzo osobliwych dla każdego zwiedzającego po raz pierwszy Japonją. Do niedawna nie było tam innego sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce, jak tylko na noszach, zwanych „kango“, ale lat dziesięć temu, kanga, niewygodne dla stron obu, i dla noszących i dla niesionych, zastąpione zostały wózkami dziecinnemi, do których zaprzęgają się byli nosiciele, pojedyńczo lub po dwóch, i ciągną podróżnego, jak u nas konie. Gdy zaprzęg w parę, to zaprzęgają się jakby koń przed koń, t. j. jeden staje w hołoblach, a drugi przed nim ciągnie za postronek. Dla ochrony od deszczu wózek ma papierowy fordekel i takiż sam fartuch, lakiem pociągnięty. W porze nocnej dżynrykcza trzyma w ręku składaną papierową latarnię ze świecą z roślinnego wosku.

Pomijając małą zapłatę, wymaganą przez podobnych fiakrów, jazda na dżynrykczach ma jeszcze inne zalety, a mianowicie, jest bardzo szybka. Dżynrykcza wali z kopyta, jakąkolwiek byłaby droga; czy po równem, czy z góry, czy nawet pod górę, wszystko jedno; ani się nawet zastanowi, rżnie pod górę bez wytchnienia. Słyszałem od ludzi godnych wiary, że ilość kilo-

metrów wcale ich nie przestrasza. W Japonji drogi są niedostępne dla zwykłych powozów lub wozów, i tu dżynrykczy ze swoją dżynrykczką staje się nieocenionym. Można nią ujechać jak najbezpieczniej i najwygodniej 70 kilometrów dziennie, t. j. 10 mil niemieckich. I to prawie bez popasu. Bo dżynrykcza raz tylko staje na całej tej przestrzeni i to nie na długo, byle nieco wytchnąć, wypłukać gardło i usta z kurzu, poczem połknie garstkę ryżu, zastępującego chleb w Japonji, wpakuje do swej mikroskopijnej metalowej fajeczki szczyptę jasno-żółtego japońskiego tytoniu, drobniutko pokrajanego, zaciągnie się dwa razy, ot i cały popas, i już znów gotów pędzić nie znużony niczem. Nic lżejszego nad ich kostium, w jakim spełniają koński swój obowiązek; najczęściej nawet i kapelusza nie mają; leci z gołą głową, a zamiast obuwia, używa lekkich sandałów ze słomy. Taniość podobnych sandałów bajeczna, ale za to też na jeden dzień zaledwie wystarczą. Powiadają, że dżynrykczy nigdy długo nie żyją; nie przeszkadza to wszakże, że rzemiosło ich przechodzi z ojca na syna. Umiejętność biegania tem bardziej jest cenioną w Japonji, że z powodu braku dróg kołowych, poczta japońska również posługuje się ludźmi, zamiast koni. Nawet jeżdżący po miastach powozami lub konno, ma zawsze przy swym boku nieodstępnych szybkobiegów, zwanych tutaj „betto“. Niech sobie kto jedzie jak najprędzej, a taki betto ani na chwilę nie pozostanie w tyle. Słynny szogun Tajkosama, zdobywca Koreji, pochodził z rodu bettów.

Dzięki dżynrykczom, mogłem po całych dniach przejeżdżać się jak najwygodniej po całem Nagasaki, idąc w wycieczkach moich za radą konsula i pana Siga-Sana, byłego dragomana poselstwa japońskiego w Petersburgu. Starałem się zwiedzić wszystko, co ciekawsze. Między innemi zwiedziłem słynną fabrykę wyrobów szyldkretowych. Należy żałować, że z powodu obstalunków angielskich, wyrób w narodowym guście japońskim coraz więcej bywa zaniedbywanym; fabryka zajmuje się głównie dostarczaniem grzebieni damskich, łańcuszków z krzyżami i kotwicami, pudełek na cygara i tym podobnych przedmiotów w najgorszym europejskim smaku. Wieczory spędzałem albo w „herbaciarniach“, na słuchaniu japońskich artystek, albo w Fukuja, znanej japońskiej restauracji każdemu, kto chociaż raz tylko zaglądnął do Nagasaki. Widok z restauracji przepyszny. Zresztą nie tyle ten widok przyciąga gości — w liczbie których byli wszyscy książęta krwi europejskiej, jacy tylko zwiedzali Japonję — ile miły widok uprzejmych dziewcząt, spełniających obowiązki kelnerskie. Tu podróżny zapoznaje się z obejściem tyle zachwalanych „mesme“ i może sobie robić porównawcze studjum nad kobietą japońską. Pozna się on z Okane-san, jednakowo przymilającą się do włoskiego książęcia krwi, jak i do zwykłego miczurana, i dowie się zdumiony, że na całus nie ma wyrazu w języku japońskim, chociaż, jak się zdaje co do obrządku całowania, to ten dobrze jest znanym.

Dla niedbającego o towarzystwo kobiet, życie w Japonji jest niemożebnem. Słusznie powiedział wspomniony Gonczarów, że na dalekim *wielkim* Wschodzie, widział tylko *wielkie* nudy. Chyba ten tylko się nie znudzi, kto lubi botanikę lub gotów po całych dniach biegać i szukać japońskich osobliwości, mając się za nader szczęśliwego, gdy mu się uda kupić starą lakierowaną miseczkę lub rękojeść od szabli za cenę dwa razy tylko większą od tej, którąby zapłacił w Paryżu lub Londynie. Osobliwości z bronzu oraz z drzewa lakiem pociągniętego, prawdę mówiąc, są najmniej ponętne. Ale po co uganiać się za wszystkiemi temi osobliwościami, gdy dość obejrzeć się dokoła, by zobaczyć coś oryginalnego. Dawna Japonja — to uroczystości religijne, przypominające przedstawienia wędrownych kuglarzy — to łazienki publiczne, w których mężczyzni wraz z kobietami gotują się jak raki w jednym garnku, w wodzie zagrzanej do 40 stopni, i to w oczach wszystkich przechodzących ulicą itd. Nowa znów, urzędowa Japonja, ma także swoje *curiosa:* wystawiono naprzykład gmach dla pomieszczenia rządu gubernjalnego, uczcili go obiadem paradnym — naturalnie nie inaczej jak z mówkami i z dziennikarskimi reporterami — wionął wiatr, a wiatry w Japonji silne — i gmach runął, jak domek karciany.

Na drugim brzegu zatoki nagasakskiej znajduje się: dok rządowy dla okrętów, rządowe warstaty i wieś Jeanasa. Wieś tę można nazwać rosyjską kolonją. Mieści ona niektóre zakłady, niezbędne dla marynarki wojennej, i kilka urządzeń dla załóg okrętowych, a oficerowie marynarki, dłuższy czas w Japonji bawiący, tutaj zwykle, idąc za zwyczajem krajowym, żenią się na czas pewien. Przyjemność podobna niewiele kosztuje; nie więcej na miesiąc jak około 15 dolarów w papierach. Oficer odjeżdża, następuje rozwód i separatka idzie za drugiego, z innego pancernika; to też panie te nie inaczej się nazywają, jak nazwiskami okrętów: ta „Warjaga“, inna znów „Arbeka“ albo „Wsadnika“ itd., lecz *hony soit qui mal y pense!* Rzecz cała polega na tem, że małżeństwo w Japonji bynajmniej nie jest sakramentem; w Japonji nie mają pojęcia o tem, co się w Europie nazywa *état civil*, co nie przeszkadza wszakże, że śluby japońskie, jakkolwiek często czasowe i zwykle zrywane, są niemniej prawnemi, jak te, które się zawierają na wieczne czasy *par devant monsieur le maire.* Lud japoński nie zna prawie żadnych obrzędów i praw małżeńskich. Dość zezwolenia rodziców lub starszego we wsi, państwo młodzi uchodzą już za pożenionych, następuje uczta, obiad lub śniadanie — ot i cały ślub. Prawo nie stawia nawet żadnych zastrzeżeń co do wieku i tylko sam zwyczaj wzbrania wydawać dziewczęta za mąż wcześniej, jak przed skończonym dwunastym rokiem życia. Rozwód niemniej jest łatwym, lecz naturalnie tylko dla męża. Dla żony rzecz inna. Może ona podać się do rozwodu, albo za zgodą męża, albo w wypadku gdy mąż jest rozrzutnym; mąż zaś ma prawo wyrzec się żony, chociażby pod pretekstem, że *papla jak papuga.*

Wpływ małżeństw, zawieranych pomiędzy Japonkami a Rosjanami, jest widoczny; wszyscy mieszkańcy Jeanasy albo mówią po rosyjsku, albo przynajmniej rozumieją. Nietylko zresztą mówią, ale kobiety z Jeanasy mogą na żądanie zaśpiewać przy akompanjamencie swych „Chamesynów“ kilka piosnek niewybrednej marynarskiej muzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE ŚWIATA.

Sara Bernhardt w Genewie. — Cudo. — Artystka a kontrakty. — «Toute Genève.» — Talent Sary B. — Dźwięk głosu. — Sara B. a kredyt robotniczy — Spółka guizańska. — Familister. — Akt notarjalny. — Kredyt robotniczy. — Indywidualizm. — «New-York-Herald.» — Jedna próba nie wystarcza. — O poglądach jednostronnych. — O lekarstwach na choroby społeczne. — Precz z mięsem! — Dar dra filozofji. — Precz ze wstydem! — Zamiast złego, gorsze. — O reformie społecznej w zastosowaniu do języka.

(Dokończenie.)

Zakład pana Godin do tej należy kategorji, co pomysł Fourriera (Falanster), co próby Roberta Owena i Cabeta. Pomysł pozostał w książkach; próby nie powiodły się; zakład pana G. ma za sobą to, że utrzymywał się siłami własnemi przez dwa z górą dziesiątki lat i że w stanie kwitnącym dokonał zlania się zupełnego kapitału z pracą. Zrobiło się to na drodze porozumienia zobopólnego a dobrowolnego, bez nacisku najmniejszego, bez przymusu, bez burzenia czegokolwiekbądź, przy zastosowaniu się do praw i porządków istniejących. Rodzina pozostaje tam rodziną, własność indywidualna własnością indywidualną: spólnik każdy jest spólnikiem dla tego, że posiada w masie swoją część, którą mu chwili każdej wycofać wolno, a która, jak długo w masie pozostaje, czyni go pracownikiem gorliwym z tej racji, że pomyślność spółki jest pomyślnością jego własną — że zachowuje on w niej indywidualność swoją osobową, rodzinną i majątkową w zupełności całej.

Bądź co bądź, jest to fakt ciekawy — ów familister. Uwagi nie zwracał on na siebie, z powodu, że wzbudzał niedowierzanie, dzięki niepowodzeniom, jakie stały się udziałem prób podobnych Owena i Cabeta, które, pierwsze zwłaszcza, wzbudziły były w czasie swoim zajęcie powszechne. Do New-Lanark przybywali wysłańce dworów panujących, celem zbadania mechanizmu zakładu spólniczego. Tem większem przeto stało się niedowierzanie, gdy się pokazało, że rzecz nie udała się. Dla tego to próba pana Godin, mimo, że się odbywała we środku Europy, rozwijała się na ustroniu niby. Może to właśnie posłużyło jej. Zagadano o niej lat temu sześć czy siedm, gdy się okazało dzieło pana G., wyjaśniające podstawy familisteru. Pisma odezwały się o tem z pochwałą protekcjonalną i zamilkły. Nie słychać było, żeby się tą sprawą interesował kto na serjo. Aż obecnie dopiero „New-York-Herald,“ dziennik organizujący kosztem własnym wyprawy naukowe (Stanley), wysłał od siebie do Guise specjalistę i ten, zbadawszy rzecz na miejscu, dał zakładu opis szczegółowy i dokładny, dziennik zaś ze swej strony nie waha się, w artykułach rozumowanych, polecać takowy uwadze powszechnej, jako wzór do naśladowania, jako przedmiot studjów poważnych. Praktyczny Amerykanów rozum zasługuje na uwzględnienie. To pewna, że problemat ten, który w Guise, jak dotychczas rozwijał się i rozwija pomyślnie, wymaga, ażeby rozwiązanym mógł być ostatecznie, studjów bardzo poważnych i — obok takowych, doświadczeń, doświadczeń i jeszcze doświadczeń. Próba guizańska nie wystarcza. Sądząc po wystąpieniu New-York-Heralda, wnioskować się godzi, że niebawem na wzór onej stanie drugi familister w Ameryce. Niech się doświadczenia mnożą.

Zawszeć doświadczenia warte są bez porównania więcej, aniżeli programy, projekta i rady, wysnute z poglądów oderwanych a jednostronnych.

A jakie tego mnóstwo!

Był moment lekarstw ogólnych na choroby ciała. Wynalazcy niezawodnych na przywrócenie zdrowia sposobów wyrastali, jak grzyby po deszczu. Homeopatja, pigułki Morissona, Leroy, nakalanie się szpilkami, jabłka kwaśne, bułki suche etc., etc., zjawiały się jedne po drugich i zapowiadały ludzkości cierpiącej zdrowie czerstwe i życie długie. Moment ten powrócił obecnie dla chorób społecznych. Tygodni temu parę, Francuz pewien, jeden z dobrych przyjaciół moich, nadesłał mi książek, broszur, odezw i programów sporo, tyczących się zbawienia społeczności ludzkiej, chylącej się wyraźnie ku upadkowi, materjalnemu i moralnemu, a to nie dla czego innego, jeno dla tej przyczyny, że się mięsem żywi. Niech ludzie mięso jeść zaprzestaną, a wnet wszystko złe w dobre się zmieni: zniknie w nich drapieżność i popęd wojowniczy, staną się łagodni i moralni; będzie ich jadło kosztowało niewiele, a więc śród nich zakwitnie dobrobyt ogólny, dzięki któremu problemat społeczny rozwiąże się sam przez się. Przyjaciel mój do przesyłki dołączył list a w nim radę, ażebym się dobrze nad tem wszystkiem zastanowił, albowiem jest to rzecz wielkiej doniosłości i wagi. On sam, człowiek liczący lat pięćdziesiąt z okładem, od lat kilku usunął ze stołu swego mięso i czuje się, jakoby się odrodził — lepszym się stał i zdrowszym. Co do zdrowia, wierzyć mu muszę; co zaś do polepszenia moralnego, nie wierzę w takowe: gdym z nim w stosunkach osobistych pozostawał i nieledwie codziennie go widywał — w czasach gdy mięsożercą był i filozofię wykładał — był to człowiek zacności wielkiej i poczciwości murowanej. Coby się tam, pod względem tym polepszyć w nim miało! Rozmyślał on zawsze nad powodem demoralizacji w społeczeństwie. I trafił na takowy. Mięso!

Równocześnie prawie z przesyłką, o której wzmiankuję powyżej, otrzymałem w darze od człowieka, również doktora filozofii, przyjaciela ludzkości wielkiego, którego za nieprzyjaciela mego uważać nie mam ani powodu, ani prawa, od człowieka zacnego i prawego otrzymałem, jak powiadam, w darze książkę w języku polskim, tłumaczenie z angielskiego. Autor onej rozmyślał także nad powodem materjalnej i moralnej nędzy, jakiej podlega społeczność. I znalazł takowy — w czem? Założyłbym się, iżby nikt nie odgadł. Znalazł go we... „wstydliwości.“ Założyłbym się i o to jeszcze, że czytelnik każdy, po przeczytaniu wyrazu, który umyślnie cudzysłowem zaznaczyłem, powie sobie o mnie: Czy kpi, czy o drogę pyta? Ani kpię, ani o drogę pytam, ale powtarzam wiernie wynalazek autora. Tak — wstydliwość wedle niego, jest powodem wszystkiego złego, jakie się na świecie śród ludzi dzieje i — jeżeli ma złe zniknąć, potrzeba, ażebyśmy się takowej pozbyli. Tamten radzi zrzec się mięsa, ten — wstydliwości; ale tamten sam się zastosowuje do rady własnej, mięso zarzucił i na programach, prospektach, odezwach podpisuje się wyraźnie: „Edouard Raoux, dr. en philosophie, ancien professeur de philosophie à l'Academie de Lausanne;“ ten zaś pozbycia się wstydliwości nie zaczyna od siebie, wstydził się bowiem podpisać na dziele, które „poświęca się ubogim i nieszczęśliwym.“ Wstydził się na niem podpisać on sam, dla tego — jak się tłumaczy — ażeby nie „zrządzić (wyrządzić?) przykrości jednemu z... krewnych;“ wstydzili się też dać poznać imiona swoje i tłumacze, którzy przełożyli je na dziesięć języków europejskich, włączając w to i polski, występujący w szranki przeciwko wstydliwości ostatni. Zkądże wstydliwość ta w tłumaczach? Zapewne i oni nie chcą przykrości „zrządzić“ krewnym swoim. A może od ogłoszenia nazwisk powstrzymuje ich skromność. Będę naśladował ich i ja i, nie przez skromność, ale przez wstyd nie wymienię tytułu dzieła. Nie przeszkodzi to rozpowszechnieniu onego. Książki, zawierające recepty na niedogodności sekretne różne i podające sposoby na rozmaite, kodeksem moralności elementarnej nie dozwolone praktyki, czytają się. Sfera zwłaszcza studencka jest na nie ogromnie łakoma. Zresztą książka owa zawiera w sobie dużo rzeczy dobrych, spostrzeżeń trafnych rad zdrowych hygienicznych, ale wszystko, co w niej jest dobrem, wszystko to, bez wyjątku, nie jest nowem; oznajomili nas z tem dostatecznie i dokładnie lekarze, hygieniści, pedagogowie, moraliści, po trosze i ekonomiści; to zaś co jest nowem — owa bezimiennie wytoczona wojna wstydliwości — należy do poglądów i rad tego rodzaju, w których złe zastępuje się gorszem i gdyby to ostatnie tryumf odniosło, społeczność ludzka zmieniłaby się nieochybnie w jeden wielki, sklepieniem niebieskiem okryty zakład prostytucji. Wrażenie takie sprawiło na mnie, ojcu rodziny, obywatelu, człowieku przytem postępowym i nieprzesądnym, odczytanie tej książki, przyswojonej literaturze naszej ku zbogaceniu takowej. Bogactwo to wszakże nieosobliwe, ze względu już nie na treść, ale na formę. Autor nie był w pisaniu majstrem, często wpada w ton kazaniowy, rozwadnia się ustawicznie i jedną a tę samą rzecz powtarza po razy kilka. Tłumacz zasługuje na pochwałę „tyleż“ (zwrot stylowy zakończenia), co i autor, wyrażając się tak np: „Nie przypuszczajmy także, ażeby my (?) zdołalibyśmy (?) uniknąć dolegliwości analogicznych z temi (?), które gniotą ubogich“. Analogicznie do tego rzecz ciągnie się przez 604 stronnic druku ścisłego. Co tam jednak forma!... Reformy, w duchu której książka jest poczętą, zadaniem jest właśnie może zreformować nam i język tak, ażebyśmy się zrozumieć nie mogli. Nie wstydźmy się.

T. T. Jeż.

Obrazki piórem

Przy kominku.

I.

Co raz to słotniej. Listopad nad światem
Wszechwładne, nie dziw, objął panowanie,
Przed końcem jego, o pogody zmianie,
O końcu pluty, i nie myśleć zatem.

Drzemie natura. Aż, wstając z spoczynku,
Skarbca swych wdzięków znów nam nie roztworzy,
Z książką tymczasem, by dnie zbiegły skorzej,
Słońca i ciepła szukajmy w kominku.

Raz! Dwa! Jest ogień! Z za brewien pokładu,
Za nim płomiennym przegryzie ten zębem,
Szarym li dymu zwiastuje się kłębem,
I kędyś w dole, syczy na kształt gadu.

Trzy! Cztery! Wzmógł się! Wśród polan, przez szparę,
Tam gdzie z nich jedno źle się z drugiem styka,
Kończyk krwawego pokazał języka,
I.., paf! do góry iskier cisnął parę.

Pięć! Sześć! Już bucha! W sinych żądeł zwoje
Na w pół zwęglone drewka opierścienia,
I, miast głuchego, jak wprzódy, syczenia,
Hukiem zwycięzkie obwieszcza podboje.

Siedem! Do szczytów doścignąwszy władzy,
Tarpejska skała tuż przy Kapitolu,
Na oczyszczonem z przeciwników polu,
Przygasa w zaspach popiołu i sadzy.

II.

Przy ciepłych zgliszczach, w fotelu objęcia,
Sybarytycznie podając się cały,
Na ten ich popiół popatruję biały,
I skrzętnie proces notuję stygnięcia,

Z żaru, co, czeluść pieca zakopconą,
Jaskrawą masą wypełniał przed chwilką,
Tam, ówdzie, teraz para węgli tylko,
Mruga w pomrokach źrenicą czerwoną.

Przeminął perjod podbojów, wielkości,
Miast migocących, płomieni przepychu,
Garść niedogarków, w kącie gdzieś, po cichu
Swędzi, jak gorzkie wspomnienie przeszłości.

Co raz to czarniej. Wilgocią przejęty,
Wiatr, co na zewnątrz dzikie piosnki wyje,
W wązką kominu zakradłszy się szyję,
Prochem zarzewia przysypuje szczęty.

Co raz to chłodniej. Cieplik się ulatnia.
I ot, z pod żużli w końcu rumowiska,
Konającego testament ogniska,
Wybiegła iskra... malutka... ostatnia.

Wciśnięty w głębie fotelu mojego
Choć mi sztywnieją nogi od przeciągu,
Przy skrzepłych zgliszczach, tkwię na kształt posągu,
Smutny, boleśny :... sam nie zgadnę, czego?

Paryż, listopad 1879 r.

J. S. Chamiec.

MAŁŻEŃSTWO Z MANCHESTER.

NOWELLA

KAROLA DICKENS'A

przekład z angielskiego.

przez

E. K.

Państwo Openshaw z Manchester sprowadzili się do Londynu.

Pan Openshaw był ajentem znacznej firmy rękodzielniczej, która założywszy magazyn wyrobów swoich w Londynie, oddała go pod jego zarząd.

Zmiana ta dosyć się podobała panu Openshaw, gdyż Londyn oddawna wiele w nim wzbudzał ciekawości niezaspokojonej kilkokrotnemi odwiedzinami stolicy. Atoli pan Openshaw dziwaczną miał pogardę dla jej mieszkańców, których zawsze wystawiał sobie jako wydelikacony próżniaczy lud, nie troszczący się o nic, jak o zbytki i wystawność, marnujący czas na Bond-Street i podobnych miejscach, kaleczący język angielski, i gardzący każdym, ktokolwiek pochodził z prowincji. Bardziej jeszcze oburzał pana Openshaw w Londynie rozkład dnia, gdyż w Manchester przywykł do wczesnych obiadów i przedłużonych po nich wieczorów.

Z tem wszystkiem był zadowolony z tego, że się do Londynu sprowadził, choć nawet przed samym sobą, za nic w świecie nie przyznawał się do tego, a znajomym ciągle tłómaczył, że tylko na żądanie swych przełożonych uczynił krok ten, za który wynagradzają mu znacznie większą pensją.

Dochody jego były w istocie tak znaczne, że pozwalały mu na utrzymanie obszerniejszego domu niż był ten, który zajął, chcąc pokazać Londyńczykom, jak mało dba o wystawność przemysłowiec manchesterski.

Wewnątrz tymczasem urządził sobie dom z wszelkiemi wygodami. Zimową porą kazał palić na kominach ile się zmieściło, a jego północna gościnność nie ścierpiała ażeby ktokolwiek z odwiedzających go, o jakiej bądź porze, wyszedł z jego domu zanim został zmuszony do jedzenia i picia.

Każda sługa w domu była dobrze żywiona, pod każdym względem dobrze utrzymana, bo aczkolwiek pan Openshaw gardził wszelką wystawnością, wysoko cenił wszystko co do dobrobytu się przyczynia.

Sam bawił się i w ogóle postępował zawsze według dawnych manchesterskich zwyczajów, nie troszcząc się wcale o to, jak zapatrują się na to jego sąsiedzi.

Żona pana Openshaw była to milutka kobiecina, dobrana i wiekiem i charakterem; on bowiem liczył piędziesiątpięć, ona trzydzieście pięć lat; on ostro i stanowczo wygłaszał swoje zdania; ona była cichą, łagodną, uległą.

Małżeństwo to miało dwoje dzieci, czyli raczej pani Openshaw miała ich dwoje, starsze bowiem, dziewczynka jedenastoletnia była jej córką z pierwszego małżeństwa. Młodsze było chłopczykiem, ochrzczonem imieniem Edwina, który zaczynał szczebiotać niezrozumiałym przeciąganym lankaschirskim dyalektem, nazwanym przez dumnego ojca, prawdziwie saksońskim akcentem.

— Pani Openshaw, której na imię było Alicja, osierociała w dzieciństwie i chowała się u stryja kapitana marynarki w Liwerpolu. Była to spokojna, nad wiek poważna mała istotka, w piętnastym roku życia swego pełna wdzięku i powabu. Miała rysy regularne, była świeża i rumiana, lecz nieśmiała, uważająca się za bardzo ograniczoną i niezgrabną. Stryjenka, druga żona kapitana ciągle na nią gderała.

Gdy Frank Wilson, brat stryjeczny Alicji, po długiej podróży na morzu do domu powrócił, wziął kuzynkę pod swoją opiekę. Z początku był dla niej dobrym i uprzejmym; potem zaczął się zalecać jej względom, a nareszcie gwałtowną zapałał dla niej miłością. Alicja nie wiedziała jakim sposobem mu się wywdzięczyć, niezawodnie wolałaby żeby był został dla niej takim, jakim był początkowo, gdyż namiętność jego nie mało ją zatrważała.

Stryj ani sprzeciwiał się temu stosunkowi, ani przyczyniał się do wywołania go, chociaż nie uszedł on jego uwadze. Macocha zaś Franka tak zmiennego była usposobienia, że trudno było domyśleć się, czy jutro będzie jej się podobało to, co dziś pochwala. Ona też kaprysami swemi doprowadziła do tego, że Alicja, mając na względzie, iż małżeństwo wyswobodzi ją z pod despotyzmu, zgodziła się na propozycję Franka i bez wiedzy stryjenki — (kapitan podróżował wówczas na morzu) przystąpiła z nim do ołtarza, przyczem za drużkę miała służącę stryjenki.

Gdy po ślubie do domu powrócili, pani Wilson nie chciała ich przyjąć, i natychmiast odprawiła Norę, wierną dotąd sługę.

Tak więc młoda para osobne najęła sobie mieszkanie i wzięła do siebie Norę.

Kapitan, gdy z podróży powrócił, wiele okazywał serdeczności młodemu małżeństwu. Przesiedział u nich niejeden wieczór, paląc fajkę i popijając z upodobaniem grog; Lecz oświadczył im, że dla domowego spokoju nie może zaprosić ich do siebie, albowiem żona jego ciągle bardzo na nich oburzona. To wszakże nie zakłócało szczęścia młodej pary; wkrótce jednak fatalny wpływ wywierała na nie gwałtowność charakteru Franka. Nieśmiałość i uległość Alicji uchodziły w jego oczach za brak zaufania i obojętność, i często bywały powodem dotkliwych wymówek.

Wkrótce niespokojny mąż zaczął dręczyć siebie a więcej jeszcze żonę swą przeczuciami tego, co mogło ją spotkać w jego bliskiej nieobecności, gdyż musiał wybrać się w podróż morską. Nareszcie udał się do ojca z prośbą, aby Alicja przez czas trwania tej podróży w jego domu zamieszkać mogła, co zdawało się tem ważniejszem, iż zbliżała się dla niej chwila, w której najwięcej potrzebowała opieki.

Kapitan niechętnie narażał się na wywołanie burzy domowej, lecz żądanie syna wydawało mu się słusznem, podjął się więc tej sprawy i Frank przed odjazdem jeszcze uspokoił się tą myślą, że żona jego pod opieką ojca, znowu w dawnym swym pokoiku na poddaszu zamieszkała. Umieszczenie jej w lepszym pokoju wymagało więcej uległości lub więcej wspaniałomyślności, niż posiadała małżonka kapitana. Najgorszem w tem urządzeniu było to, że wierna Nora oddaloną być musiała. Miejsce jej w domu było zajęte, a gdyby nawet opróżnionem zostało, ona straciła już łaskę pani Wilson. Dobroduszna dziewczyna pocieszała swoje państwo przepowiedniami, że nadejdzie pora, gdy znowu będą mieli własny dom, do którego ona z pewnością należyć zamyśla, gdziebądź by służyła tymczasem. Frank przed samym wyjazdem odwiedził jeszcze z żoną Norę w domu jej matki. W końcu odpłynął.

Za zbliżeniem się zimy, teść Alicji widocznie zapadł na zdrowiu; pomagała ona tedy pani Wilson w pielęgnowaniu i rozrywaniu chorego, a przy smutku i obawie, więcej zgody i spokoju panowało w domu jak dawniej. Serce pani Wilson nie było tak twardem, jak się wydawało, zmiękło znacznie na widok zbliżającej się śmierci osoby, którą kochała, i wzruszyła się myślą o pierwszem rozwiązaniu młodej mężatki w nieobecności męża. To skłoniło ją do pozwolenia, aby Nora pielęgnowała Alicję podczas słabości, a później czuwała nad chorym kapitanem.

Zanim jakakolwiek wiadomość od Franka doszła do domu, ojciec jego umarł. Alicja pocieszała się wspomnieniem, że przed śmiercią pieścił jej dziecko i pobłogosławił mu.

Po śmierci kapitana pokazało się, że daleko mniej zostawił majątku, niż można było przypuszczać po sposobie jego życia. Wszystkiem miała rozporządzać żona. Alicja mało się o to troszczyła; mąż jej był już porucznikiem, w następującej podróży musiał zostać kapitanem. Tymczasem umieścił dla niej w banku kilka oszczędzonych setek.

Nadeszła chwila, w której Alicja spodziewała się listu od męża; pierwszy odebrała z przylądku Kap. Teraz miał jej oznajmić swoje przybycie do Indji. Lecz gdy tydzień mijał po tygodniu, a listu nie było, gdy ani właściciele okrętu, ani żona kapitana żadnej nie odbierali wiadomości, wtenczas oczekiwanie Alicji w okrutną zamieniło się obawę. Nareszcie oświadczył właściciel okrętu, że żadnej nie ma nadziei, aby kiedykolwiek co posłyszeć o okręcie, wysłanym do Indji, który bezwątpienia zatonął.

Teraz, kiedy już nie miała nadziei zobaczenia Franka, Alicja czuła, że go kochała i zatęskniła za tym drogim przyjacielem, wspaniałomyślnym opiekunem lat dziecinnych; pragnęła żywo pokazać mu dziecko, którego niepodzielne posiadanie dotąd zdawało jej się pożądanem. Lecz smutek jej był cichy, spokojny, co obu-

rzało panią Wilson, która tak opłakiwała swego pasierba, jak gdyby z nim zawsze żyła w najpiękniejszej zgodzie. Najwidoczniej uważała za swój obowiązek wybuchnąć płaczem, ile razy spotkała się ze znajomymi, i ubolewać nad biedną młodą wdową i opuszczoną sierotką; zdawało się, iż opowiadanie tej smutnej historji sprawia jej pewną przyjemność.

Przeszły pierwsze dni owdowienia Alicji; potrosze wszystko powróciło do dawnego porządku i spokoju. Lecz jak gdyby ta młoda istota do ciągłego cierpienia przeznaczoną była, wkrótce córeczka jej zaczęła zapadać na zdrowiu, pokazała się słabość kości pacierzowej, która, według wyroku lekarskiego, nie zagrażała śmiercią, lecz zwątleniem zdrowia i ułomnością. Jakże okropną jest perspektywa długiego cierpienia dziecka, które matka tak kocha, jak Alicja kochała swoją jedynaczkę. Nora domyślała się — Pan Bóg sam wiedział jak cierpi Alicja.

Gdy pewnego dnia starsza pani Wilson z rozpaczą wpadła do pokoju Alicji, opowiadając o wielkiej stracie, jaką poniosła na mieniu, pozostawionem jej po mężu i gorzko narzekała na to, że trudno będzie jej odtąd wyżyć samej, a tem trudniej z Alicją — młoda matka pojąć nie mogła, jak można czem innem, jak śmiercią lub chorobą ukochanej istoty, tak się zmartwić, i z oburzającym spokojem przyjęła tę wiadomość. Ale kiedy po obiedzie wniesiono małą ułomną dziewczynkę, a babka, która ją kochała, zaczęła na nowo ubolewać nad swoim losem, który nie pozwalał biednej tej istocie dostarczyć wszelkich wygód, jakich słabe jej zdrowie wymaga, radzić się takich lekarzy, do których więcej miałaby zaufania — wtenczas Alicja do głębi serca czuła się wzruszoną, przysunęła się z niezwykłą tkliwością do pani Wilson, i jak niegdyś Rut, zapewniała teściową, że nigdy jej nie opuści.

Po kilkudniowych naradach zostało postanowionem, że pani Wilson najmie dom w Manchester, opatrzy go po części tem, co posiada, resztę zaś dostarczy Alicja pieniędzmi, zostawionemi jej przez Franka.

Pani Wilson urodziła się i wychowała w Manchester, zatęskniła więc do swego rodzinnego miasta. Kilku jej znajomych potrzebowało mieszkań, za które dobrze chcieli zapłacić. Alicja podejmowała się zarządzać domem i gospodarstwem domowem.

Wierna i przychylna Nora była gotową bezpłatnie zająć się kuchnią, praniem, szorowaniem, słowem każdą najcięższą pracą, aby tylko zostać ze swoją panią.

Plan ten przyszedł do skutku. Przez kilka lat mieszkania były zajęte przez tych samych lokatorów i wszystko było dobrze, oprócz zdrowia małej dziewczynki, która z każdym dniem znaczniej stawała się ułomną.

Nie ma wyrazów na to, jak matka kochała to biedne dziecko.

Potem nastąpiło znowu niepowodzenie. Mieszkańcy wyprowadzili się, a nikt ich nie zastąpił.

Po kilku miesiącach były biedne wdowy zmuszone sprowadzić się do mniejszego domku, a drażliwe sumienie Alicji dręczyło ją, że nie powinna być dalej ciężarem swej teściowej, lecz opuścić ją i zarabiać na swoje utrzymanie.

Opuścić swoje dziecko! Myśl ta taki budziła odgłos w jej sercu, jak żałobny dźwięk pogrzebowego dzwonu.

Nareszcie pan Openshaw najął u nich mieszkanie. Człowiek ten zaczął swoją karjerę od posłańca i zamiatacza magazynu; przechodził wszystkie stopnie zawodu kupieckiego, torując sobie drogę przez ciężkie życie manchesterskie za pomocą przedsiębiorczego i energicznego charakteru. Każda wolna chwila była oddana nauce bez żadnej pomocy. Był tedy pan Openshaw doskonałym rachmistrzem, władał językiem francuskim i niemieckim; znał dokładnie wartość towarów i handel tak hurtowny jak i drobiazgowy; a tak był oddany swemu zawodowi, iż wątpić należy, czy kiedykolwiek zobaczył grupę kwiatów w polu, ażeby zaraz nie pomyślał o tem, jak kolory ich pięknie by odbijały na tle wiosennych muszlinów i perkalików.

Przytem należał do rozmaitych stowarzyszeń i całą duszą i sercem oddawał się polityce, uważając za szaleńca lub głupca każdego co nie podzielał jego zdania; a przeciwników swoich raczej silnym głosem niż logiką zwyciężał.

Można sobie wyobrazić, że taki człowiek nie miał czasu do zakochania się i podobnych niedorzeczności. W wieku, w którym prawie każdy młody człowiek myśli o zalecaniu i ożenieniu się, nie miał środków na utrzymanie żony, był zresztą nadto praktyczny aby jej pożądać. A teraz jako skończony człowiek, cieszący się dostatkiem, uważał kobiety za ciężar społeczeństwa, z którym najlepiej jak najmniej mieć do czynienia.

Pierwsze wrażenie jakie na nim zrobiła Alicja, było nieokreślone i wcale nie zadawał sobie trudu aby je zgłębić.

Zmuszony do wydania o niej sądu powiedziałby: Kobiecina, jak trzcina, jak wiater nią poruszy, tak kiwnie. Uważał bowiem jej cichutkie, spokojne usposobienie za słabość i opieszałość charakteru, co bardzo było przeciwnem jego czynnej i energicznej naturze. Lecz po niejakim czasie uważał, że z dokładnością co dzień życzenia jego spełnione zostają, że w naznaczonej godzinie woda do golenia w samą miarę ciepła, ogień rozniecony, kawa według upodobania zgotowana, miał on bowiem o wszystkiem swoje teorje opierające się na nauce o ile jej posiadał — teorje częstokroć bardzo oryginalne — natenczas, nie przypisując to osobistym zasługom Alicji, zaczął nad tem rozmyślać, że doskonałe znalazł sobie mieszkanie i powziął zamiar pozostania w nim na całe życie. Pan Openshaw był od najmłodszych lat nadto zajęty; aby kiedykolwiek oddawać się badaniom psychologicznym. Nie był świadom tego czy posiada choć trochę tkliwości, a gdyby był ją znalazł w swej duszy, uważałby to za ułomność swojej natury. Lecz niepostrzeżenie uległ litości, a litość przechodzi łatwo w tkliwość. Mała nieszczęśliwa dziewczynka, nad którą ustawicznie jedna z trzech kobiet czuwała po całych dniach, siedziała w swojem krzesełku zajęta cierpliwem nawlekaniem kolorowych paciorek; duże jej, poważne, niebieskie oczy nadawały delikatnej pociągłej twarzyczce wyraz nad wiek łagodny, żałośny głos odzywający się zaledwie kilku słówkami, wbrew zwykłej gadatliwości dzieci, to wszystko mimo woli i wiedzy ściągnęło na siebie uwagę pana Openshaw. Pewnego dnia — gniewał się oto sam na siebie — wstał wcześniej od obiadu, aby znaleść coś takiego, coby mogło zastąpić te wieczne paciorki, któremi dziecko się bawiło. Kupił jakąś zabawkę i oddał dziecku w sposób szorstki, wybierając do tego chwilę, kiedy znajdowało się samo. Zdziwił go blask szczęścia jakim oblała się twarzyczka dziecka i czemkolwiek zajął się do końca dnia, nie mógł oderwać myśli od wspomnienia niewidzianej dotąd radości dziecka. Gdy wieczorem do domu powrócił, zastał swoje pantofle przygotowane przy kominie, przy którym o tej porze zwykł zasiadać, i inne dowody niezwykłej staranności. Alicja wynosząc naczynia od herbaty, którą jak zwykle podała mu milcząc — stanęła w otwartych do wyjścia drzwiach. Pan Openshaw udawał, że z całą uwagą czyta, chociaż prawdę powiedziawszy ani jednej litery nie widział, lecz z całego serca życzył, żeby ta kobieta jak najprędzej odeszła i nie nudziła go swoją wdzięcznością.

Alieja powiedziała krótko:

— Jestem panu bardzo, bardzo wdzięczna; ślicznie dziękuję.

I odeszła zanim miał czas odprawić ją temi słowy:

— Dobrze, dobrze pani; nie ma o czem mówić.

Przez niejaki czas udawał, że wcale nie zważa na dziecko i uzbrajał serce swe przeciw wrażeniu jakie na nim wywierał rumieniec i uśmiech dzięk czynny małej dziewczynki, jeśli przypadkiem ją zobaczył. Ale nie wytrzymał długo, a gdy po raz drugi dał się unieść czułości, nie było już powrotu. Chytry nieprzyjaciel, który pod pozorem litości dla dziecka do jego serca się zakradł, przybierał teraz daleko niebezpieczniejszą postać, zajęcia się matką. Spostrzegł pan Openshaw tę zmianę swego uczucia, gardził sam sobą, walczył, lecz na daremnie, poddał się mu wreszcie, lecz długo nie pozwalał mu zdradzić się słówkiem, czynem lub nawet spojrzeniem. Przypatrywał się uległości młodej wdowy dla jej teściowej, przywiązaniu, które potrafiła pozyskać sobie ze strony prostej sługi, a nadewszystko podziwiał głębokie, namiętne, nieograniczone przywiązanie do dziecka. Tak matka jak i córka rzadko kiedy odzywały się do kogo innego, ale między sobą tyle miały do powiedzenia sobie, że po całych godzinach szeptały, szczebiotały, gruchały tak, że pan Openshaw z początku dziwił się, jak mogą mieć tyle do opowiadania sobie; później zaczął się tem oburzać, że dla niego tak są milczące.

Nie przestał jednakże przyczyniać się

do pocieszenia i zabawienia dziecka. Nie mógł oderwać myśli od smutnej przyszłości jaka oczekiwała tę nieszczęśliwą dziewczynkę i często ze swego kantoru wracając przynosił to, co Alicja życzyła sobie dla swego dziecka, a czego sama kupić nie mogła.

Postarał się nareszcie o wózeczek, w którym dziecko mogło być ciągnione po ulicach i sam ciągnął je po nich, letniemi wieczorami, nie zważając wcale na uwagi swoich znajomych.

Pewnego jesiennego poranku siedział w swoim pokoju z gazetą w ręku, a gdy Alicja weszła ze śniadaniem, powiedział najobojętniejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć:

— Pani Frankowa, czy nie moglibyśmy nasze konie razem zaprządz?

Alicja zastanowiła się zdumiona, co chciał on przez to powiedzieć?

Czytał dalej gazetę, jak gdyby żadnej nie oczekiwał odpowiedzi. Ona więc uważała milczenie za najstosowniejsze i spokojnie dalej nakrywała do śniadania.

Nie wymienili ani słówka.

Lecz gdy pan Openshaw miał wyjść z domu, otworzył drzwi do obszernej czystej kuchni, gdzie kobiety zwykle śniadanie jadały i powiedział:

Zechciej pani zastanowić się nad tem co powiedziałem.

Alicja cieszyła się, że teściowa i Nora tak były zajęte rozmową, iż słowa te uszły ich uwadze. Ona zaś postanowiła wcale o tem nie myśleć i dla zapamiętania swego postanowienia, cały dzień o tem myślała. Wieczorem Norę posłała na piętro z herbatą. Ale ta zaledwie stanęła na progu, gdy się ujrzała za drzwiami, a pan Openshaw ze schodów, tonem niecierpliwości wzywał panią Frankową.

Alicja weszła do niego przekonana, że więcej nadała wagi jego słowom, niż należało.

I cóż pani Frankowa? — jaka odpowiedź, nie odciągaj pani; mam jeszcze dużo do czynienia przed nocą?

Nie zrozumiałam nawet, co pan chciałeść powiedzieć odparła Alicja szczerze.

— Dobrze! sądziłem, że domyśli się pani. Nie jest to dla pani tak nowem, jak dla mnie. Powiem zresztą wyraźnie.

Czy chcesz mnie pani przyjąć za małżonka i kochać mnie i szanować i być mi posłuszną i tak dalej? A jeżeli chcesz, to więcej jeszcze uczynię dla ciebie, bo będę twemu dziecku ojcem, a tego nawet pismo święte nie wymaga.

Jestem człowiekiem, któremu słowo dane jest świętem; co mówię, to czuję, a co obiecuję to uczynię.

Odpowiedz pani?

Alicja milczała; nalewała herbatę tak, jak gdyby jej odpowiedź była dla niego najobojętniejszą rzeczą; lecz gdy herbata była nalana, zaczął się pan Openshaw niecierpliwić.

— Więc? — zapytał.

— Ile czasu zostawiasz mi pan do namysłu?

— Trzy minuty — spojrzał na zegarek.

— Miałaś pani już dwie, co razem czyni pięć. Bądź pani tak dobrą, powiedz zgoda, i pijmy razem herbatę, przyczem więcej pomówimy o tem, bo po herbacie muszę wziąć się do pracy. Powiesz pani nie — zawahał się na chwilkę, potem tym samym tonem dalej ciągnął — rzecz skończona, lecz zapłacę roczny czynsz i jutro porzucę ten dom na zawsze. Termin się skończył, mów pani tak lub nie?

— Jeżeli pan sobie życzysz... byłeś dotąd już tak dobrym dla mojej Lisi.

— Więc siadaj pani wygodnie tu, obok mnie na sofie, napijemy się razem herbaty. Bardzo mnie to cieszy, że pani tak jesteś dobrą i rozsądną jak sobie wyobrażałem.

To były drugie zaręczyny Felicji Wilson.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FOTOFON.

— Jak się nazywasz, mój miły, luby dzieciaku zapytałem nowego przybysza, który mnie wczoraj wieczorem odwiedził...

— Fotofon!

— Fotofon? jakieś szczególne imię... Wszakże ono brzmi po grecku. Czy może twoi rodzice są grekami?

— Ach nie! Bynajmniej. Wreszcie ja nie mam wcale matki, tylko ojca.

— Nie masz matki? Czyś ty oszalał, malcze? Może ty tylko nie znasz swojej matki?

— Powiedziałem już panu, że matki nigdy nie miałem. Pan się śmiejesz i dziwisz się, jakim sposobem na świat przyszedłem? Widzisz pan, ja bo jestem osobliwem dzieckiem. Ojciec mój nie jest Grekiem, tylko profesorem amerykańskim i nazywa się Bell, Graham Bell. Ja zatem nazywam się Fotofon Bell; mój tatko, tak jak wszyscy uczeni, ma zwyczaj nadawać dzieciom swoim greckie imiona, ale nie wszędzie pozwalają nam się niemi cieszyć, bo naprzykład naszego dobrodzieja i opiekuna, sekretarza państwa pruskiego Stephana — co? dziwisz się pan? tak, tak! my mamy rozległe stosunki — otóż tego mego opiekuna zgroza przejmuje na wspomnienie greckich nazw, i dlatego stara się on zwykle „zaanektować“ nas natychmiast. I ja wkrótce utracę moje pięknie brzmiące imię, skoro tylko panu Stephanowi złożę pierwszą moją wizytę, a on mnie łaskawie przyjąć i uznać zechce. Prawdopodobnie nazwie mnie on „światłomowem“ lub tympodobnie.

— Wiesz, zuchu, że jak na twój wiek jesteś bardzo porządny i posiadasz już niemałą biegłość wymowy; pytlujesz jak we młynie.

— Panie kochany, widzi pan, to już przywiązane do familji. Jest to właściwość dziedziczna, która się udziela całemu naszemu rodzeństwu. Mówić umiemy tak, że słychać nas na milowe odległości. Najwybitniejszem naszem znamieniem jest gęba. Szczycimy się w ogóle niezwykłem urodzeniem, i przychodzimy na świat wszyscy już obdarzeni mową. Inne dzieci żywemi ale niewyraźnemi krzykami zapowiadają i potwierdzają swoje istnienie; a nasze pierwsze głosy przedstawiają się już jako kompletnie wykształcone słowa i mowy. Wreszcie ja mam dopiero kilka tygodni!

— Co ty mówisz? Jak na twój wiek, jesteś już bardzo silny i dobrze zbudowany. Czyś ty najmłodszy?

— O ile wiem, tak! Ale memu ojcu nie można dowierzać. Ponieważ my się rodzimy w sposób nadludzki, więc nie trzymamy się także przepisanego czasu; bardzo łatwo zdarzyć się może, że tatko Bell pewnego pięknego dnia obdarzy mnie naraz trojga rodzeństwem...

— To szczególne! a jak się nazywają twoi starsi bracia?

— Telegraf i telefon, albo jak mój opiekun ich nazywa: „drutomów i dalekomów“. Najstarszy jest też najpotężniejszy. Gdy mówi, bucha ogniem i iskrami. Wszędzie jest zagospodarowany i wysoce szanowany; żaden cesarz obejść się bez niego nie może, żadnego pokoju nie zawierają bez niego, żadnej wojny nie wypowiadają, — ba, bez niego ja nie istniałbym na świecie, ani mój brat „dalekomów“ który zresztą ma zakres znacznie skromniejszy i nie wtrąca się wszędzie. Wprawdzie nie zbywa mu na ambicji, wskutek której stara się powalić swego starszego brata i zupełnie go usunąć... My jesteśmy urodzonymi rewolucjonistami. Ja sam, choć taki mały i młody, noszę się już z tą myślą, żeby całe moje rodzeństwo sprzątnąć ze świata. Przeraziłeś się pan? Tak jest, ja jestem okrutnie ambitny. Przy tem oddaję tylko wet za wet. Bo jeżeli ja moich braci nie uśmiercę, to oni mnie zjedzą. Powiedziałem już przecie panu, że gęba stanowi naszą najsilniejszą stronę. Musimy robić tak, jak nieboszczyk Chronos ze swojemi dziećmi; tatko Bell sam jeden temu winien: on tak chce, a światu to wszystko jedno. I z pewnością nikt nie pomyślałby o wytoczeniu mi procesu z tego powodu. Przeciwnie, wszyscy by radośnie krzyczeli i winszowali mi tryumfu. Zwycięzca i pozostający przy życiu ma zawsze słuszność....

— A cóż ty właściwie potrafisz, ty mały wielomowie — chciałem powiedzieć światłomowie?

— Ha, musisz pan wiedzieć, że ja sam o sobie nie mam jeszcze jasnego pojęcia. Pewną jednak rzeczą jest, że mogę mówić na wielką odległość; potrafię nawet coś więcej jeszcze: oto słowa moje można widzieć i słyszeć... Wziąłem sobie światło na usługi, a wszakże panu wiadomo, że światło jest szybsze od nas wszystkich. *»Fono«* nie może rywalizować i pokonać *»foto«*. Otóż *»foto«* ze swoją siedmiomilową szybkością przyrzekło mi nosić mnie, małe *»fono«* wszędzie, i w ten sposób widzisz pan, mamy, zdaje się, powodzenie zapewnione. Kazaliśmy zatem wspólną naszą firmę *»Fotofon«* zaprotokołować w rejestrach handlowych. *»Foto«* otrzymało wprawdzie pierwsze miejsce w naszem nazwisku, ale my jesteśmy wspólnikami z równemi udziałami. Wkrótce usłyszysz pan więcej o nas!

— Dziwnie! przedziwnie! No, życzę ci szczęścia na drogę, chłopcze, a kłaniaj się twemu opiekunowi Stephanowi! Ale, ale, więc twoi bracia...

Fotofon (z odpowiedniem poruszeniem ręki): — Tak ich ścisnę za gardło, że ani zipną!

Taki djalog czytamy w jednym z niemieckich dzienników o najnowszym, cudownym iście wynalazku Grahama Bella dokonanym w Stanach Zjednoczonych Ameryki, o wynalazku, który od kilku tygodni budzi ogólne zajęcie w kołach fizyków i przyrodników.

*

Tenże sam profesor Bell jest także wynalazcą telefonu, który zaczyna znajdywać coraz szersze zastosowanie w życiu praktycznem w wielu miastach, szczególniej zaś w Berlinie, gdzie za inicjatywą dyrektora poczt i telegrafów Stephana zaprowadzony został w biurach pocztowych, a obecnie przystąpiono nawet w samem mieście do urządzenia stacyj komunikacyjnych za pomocą telefonu.

Otóż ów profesor Bell wykazał według dzienników amerykańskich i stwierdził szczegółowemi doświadczeniami, z których sprawozdanie odczytanem było w towarzystwie zachęty nauk, że bez żadnych drutów komunikacyjnych, jakich potrzeba w telegrafach i telefonach, głos może być przesyłany z jednego miejsca na drugie, za pomocą tylko wiązki silnych promieni świetlnych.

Promienie te odbijają się od płaszczyzny wprawionej w drganie głosem lub dźwiękiem i padają na ustawiony w pewnej odległości reflektor paraboliczny...

Przerwy w promieniach, wywołane drganiem płaszczyzny, udzielają się reflektorowi parabolicznemu, który przenosi te drgania na ustawiony w ognisku zwierciadła parabolicznego aparat selenowy i tym sposobem reprodukuje dźwięk.

Podstawę więc aparatu przyjmującego, to jest w miejscu, do którego głos ma być posyłany, stanowi znane w chemji, dotąd jednakże niemające prawie żadnego zastosowania w przemyśle ciało proste, czyli pierwiastek chemiczny, nazwany selen.

Kierując kształt czyli charakter drgań głosowo-świetlnych na to ciało, można kontrolować ilość i jakość głosu i utrzymywać rozmaite odcienia głosu ludzkiego.

Profesor Bell przemawiał w taki sposób za pomocą promieni słonecznych na odległość dwustu metrów.

Jest to dopiero początek wynalazku, który może zapowiada nowy przewrót w komunikacji myśli pomiędzy oddalonemi od siebie osobami.

Użycie wreszcie heleografu do sygnałów wojennych, jak to praktykowano często w Afghanistanie z wielkim pożytkiem, nabrałoby w razie, gdyby fotofon dał się zastosować do dalszych odległości, tem większego znaczenia.

E. K.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Literacki i polityczny spadek po A. Wielopolskim. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego. 1880. 8ka str. 126.

Pod tym tytułem opuściła niedawno prasę broszura, której autor wmieszał się w spór, toczący się między panem Lisickim, wydawcą pism Wielopolskiego i jego biografem, a p. Tarnowskim, krytykiem p. Lisickiego, przy akompanjamencie odezw Zygmunta Wielopolskiego, broszur Agatona Gillera i innych. Autor broszury, której tytuł podaliśmy u góry, z całą bezstronnością bada historyczną postać byłego Naczelnika Rządu Cywilnego i daje nam zupełny i skończony jej obraz. A jakkolwiek obraz ten może być dla nas bardzo niemiłym, nie wina w tem autora, ale naszych namiętności, które po niedawnej walce nie mogą się uspokoić i nie uspokoją się, chyba aż po za grobem. Autor broni nasamprzód prywatny charakter Wielopolskiego i zwycięzko odpiera wszystkie zarzuty, czynione mu jako prywatnemu człowiekowi, wskazując tych zarzutów źródła, rozbiera następnie główniejsze jego prace, jako to: *Myśli i uwagi, List szlachcica polskiego do ks. Metternicha* i inne, oraz rysuje go nam jako głębokiego myśliciela i polityka z żelazną konsekwencją. Z tego już wyprowadza program polityczny Wielopolskiego, który on chciał przeprowadzić w latach sześćdziesiątych wbrew woli narodu i z którym upadł, ale który to program pozostał w spuściznie narodowi i z dniem każdym zdobywa zwolenników, i jest, według autora, przyszłym programem Polski. Ztąd autor podnosi Wielopolskiego na piedestał i stawia go obok Kościuszki, przyznając mu w porozbiorowych dziejach równorzędne znaczenie, co rozumiemy w ten sposób, że jak stronnictwo rewolucyjne, dążące do niepodległości Polski, ma swój ideał w Kościuszce, który pierwszy stanął na czele zbrojnego ruchu, tak teraz stronnictwo białych, czyli dążące do uzyskania samorządu dla prowincyj polskich na drodze legalnej, znalazło swój ideał w Wielopolskim, a raczej w jego programie.

Nietylko nie będziemy się z autorem pod tym względem spierali, ale owszem uważalibyśmy to za bardzo pocieszający fakt, gdyby nareszcie i owo stronnictwo przyjęło sobie stały program, gdyż jak wiemy, ani Czartoryski, ani Ogiński, ani Lubecki, ani Andrzej Zamojski i inni przywódzcy tego stronnictwa stałego programu nie mieli i każdy chodził z nich własną drogą, drogą bardzo niepewną, co było niemałą klęską dla kraju.

Autor pisząc się na program Wielopolskiego w przyszłości, staje po jego stronie i w czasach jego wielkorządztwa w Królestwie, a tem samem występuje przeciwko tym wszystkim, którzy dzieła Wielopolskiego uznać nie chcieli i jego reform nie przyjęli, a więc i przeciwko powstaniu 1863 r.

Zapatrywań jego na powstanie 1863 roku trudno podzielać. Dziś, *a posteriori*, po przegranej sprawie, łatwo w powstaniu widzieć przeszkody do osiągnięcia celów Wielopolskiego, które mogły dać warunki polityczne lepsze, aniżeli obecne, ale czy powstanie koniecznie miało upaść? Powstanie przeszkodziło ziszczeniu się planów Wielopolskiego, to prawda, ale rozumowanie to jest jednostronne, bo również Wielopolski i inni przeszkodzili planom powstania, które podjęte mogło być w innych warunkach. A jednak autor, pomimo iż tak zawzięcie wyrzeka przeciw ostatniemu powstaniu, sam zmuszony jest przyznać, „że nawet porachowawszy i upust krwi przez powstanie i wszystkie pozycje stracone przez narodowość, skutkiem powstania, i co gorsza — nawet ten zamęt w pojęciach o własności i o stosunku ludu względem rządu, który nastąpić musiał“... „kupiony rezultat socjalny: rozszerzenie podstaw budowy społecznej uwłaszczeniem rolników, nie jest za drogo kupionym.“

Autor broszury powtarza z hr. Tarnowskim: „Powstanie okazało się sposobem tak złym, że nikt dziś ani śmie ratunku w niem szukać i wskazywać.“ Tymczasem równocześnie z tą broszurą wyszła inna w Poznaniu Zygmunta Miłkowskiego, w której czytamy: „Niepowodzenie tego rodzaju (jak w ostatniem powstaniu) nie służy zgoła za materjał do wyrokowania o tem, co stać się może jutro albo pojutrze. Wyzyskiwanie onego w celu krępowania narodowi z góry rąk, jest fałszem historycznym i obłędem politycznym.“

W każdym razie broszura powyższa jest jednem z najcenniejszych dzieł, jakie się w politycznej literaturze polskiej od ostatniego powstania ukazały. Nie możemy się nadziwić, że dzienniki nasze, które zdają obszerne relacje z każdej broszury politycznej, które polemizują z taką ramotą, jak »*La Pologne et les Habsburg*», dotąd wcale nie zwróciły uwagi na powyższą sumienną i gruntowną pracę, która nie jednodniowe znaczenie mieć będzie w naszem życiu narodowem.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(K.) Bank dla krajów koronnych, Giełda we Lwowie, Spirytyści, Towarzystwo dla usunięcia żebractwa, znowu Bank rolniczy, Śnieg z wiatrem na pogodę godzą — oto są najważniejsze fakta z ubiegłego tygodnia, które cały Lwów czuł, widział, powtarzał i doświadczał. A, prawda, zapomniałem jeszcze o czerwonce, płonicy, dławicy, krztuścu i o czemś piątem również zakończonym na *cy*, w rodzaju *durzycy* lub coś podobnego. Byłby więc nie zły materjał do tygodniowej kroniki dla tego, ktoby ją napisać umiał z werwą, dowcipem i znajomością przedmiotu; — ja to sam przyznaję, jak przyznają wszyscy recenzenci teatralni, że pewna artystka nasza, mogłaby grać wybornie, gdyby miała talent, a szlachta mogłaby dostać pieniędzy z tych obiecanych banków, żeby miała rękojmię. Już to zdaje się, że my nigdy nie pozbędziemy się tej arcy-przyjemnej skłonności do pożyczania i jakkolwiek mamy coś jedenaście Banków we Lwowie, z radością zacieramy ręce słysząc, że przybędzie dwunasty. Ta cyfra dwanaście jest ulubioną cyfrą naszą od dawien dawna: mieliśmy kiedyś dwunastu apostołów, dwunastu wojewodów; — łyżek, widelcy i noży dajemy naszym córkom na wyprawę po dwanaście, a w końcu chociaż to jedno z drugiem nie ma żadnego związku, kiedy w starych klechdach ludowych jest mowa o rozbójnikach, ta cyfra dwunastu stanowi zawsze komplet bohaterów z pod ciemnej gwiazdy, mających brody długie, i kręcone wąsiska.

Niechże mię też nikt nie posądza, żebym mógł mieć na myśli jakie bądź porównanie Banków z bohaterami Mickiewiczowskiej ballady, broń Boże, ani mi to w głowie. Gdzież tu podobieństwo jakie? Wszak Banki nasze mają koncesję i przywileje, nie napadają nikogo, nie zasadzają się pod figurą i nie czatują na przechodzących. Korzystają tak samo z możnych, ale korzystają prawnie; licytują, egzekwują, eksmitują, w dzień biały ogłaszając w „Gazecie Lwowskiej“, nawet godzinę, w której te przykre dla czułego serca operacje uskutecznić się mają.. Dlatego nie lękajcie się moi czytelnicy dwunastu Banków i myślcie nad tem, jakby tu wziąć można ze wszystkich naraz... Chodzą pogłoski po mieście, że były ex-literat, który dawnemi już czasy, pióro na guldena zamienił, jeszcze przed narodzeniem się nowego Banku, zarobił tylko miljonik franków. Drugi pan literat ad hoc do koncypowania statutów, sześć-

kroć — więc powiedźcie mi otwarcie, czy to warto pisać dziś historje, dramaty, powieści, a nawet te nędzne kroniki tygodniowe, kiedy świat finansowy tak hojnie wynagradza zdolności literackie! Nic, tylko robić operacyjki finansowe jakto było onemi czasy przed rokiem 1873... Boże drogi, jakie to były czasy! Żydkowie z Hetmańskich wałów widocznie to wszystko jeszcze raz przeczuwają, jeżeli fundują znowu giełdę we Lwowie.

Nowy Bank tedy będzie dokazywał cudów w Galicji. Będzie łączył morza i rzeki, będzie osuszał... błota (o kieszeniach szlacheckich już mowy nie ma, bo te są djabelnie suche), będzie nawadniał i zraszał, będzie regulował, pośredniczył, pożyczał, rozbudzał przemysł i handel... szczególniej drobny przemysł domowy, jak wiadomo będący obecnie na porządku dziennym. Powiadają niektórzy, iż prócz nawadniania łąk, ma zamiar jeszcze lepiej ponawadniać głowy galicyjskie, żeby w nich już nigdy nie mógł powstać jakiś pożar grożący zadymieniem rozsądku. A przyznajcie wszyscy podobnie jak kronikarz, lojalni czytelnicy, że na tę ostatnią operację byłby już czas wielki. Naprzykład, gdyby nasze głowy w tej chwili były porządnie zirygowane i nawodnione, jak mam nadzieję niedługo będą, czyż z powodu półwiekowej pamiątki walk o niepodległość narodową, chciałoby się w sercach już dziś zgrzybiałych starców odgrzewać te dawne uczucia, jakiemi tętniły wówczas wszystkie szlachetne dusze? Czyby kazali bić medale, drukować książki opisujące ich nierozważne, bo tryumfem nieuwieńczone czyny? Zresztą mniejsza o uczucia, slamazarność i chęć kwilenia, długo jeszcze zostanie w ludziach, ale dlaczegoż ci niepoprawni nie rozumieją, że podnosząc do uroczystości podobną pamiątkę, wyrządzają przykrość naszemu sąsiadowi, z którym zostajemy, jak powiada „Fremdenblatt“ *na stopniu pełnej szacunku rezerwy*. Wprawdzie obchód rocznicy listopadowej wobec tutejszego rządu, nie może w sobie mieścić nic nagannego, tembardziej po takiem przyjęciu Monarchy w Galicji, z którego o ile wiemy, on sam nie wątpi o naszej lojalności, ale pytam się razem z redakcją „Czasu“ i jego korespondentami, na co to wszystko?... na co drażnić sąsiedniego dobroczyńcę Polaków, mającego i tak już tyle zmartwień i z nihilistami, i z nową żoną i z różnemi dziećmi! Dał on Polakom wszystko co miał najdroższego — swój język, swoich przyjaciół urzędników, a chciałby jeszcze dać swoją wiarę prawosławną. — Ale jak mu będziemy robić takie przykrości, to z pewnością że nie da, a nasi rodacy z kongresówki, utracą tę miłość ojca, jaką ich dotąd błogosławione rządy carskie otaczają.

Nie mówię już, żeby całą tę uroczystość urządzały głowy młode, wytrawne i liczące się z położeniem obecnem, ale to wzięli się do tego ludzie o siwych głowach, zapaleńcy, a zatem nie dający żadnej rękojmi taktu i dojrzałości politycznej... Zobaczycie, że zrobią jaką niedorzeczność, wywołają awantury, demonstracje i Bóg wie jeszcze nie co...

Przykro mi jest kochani czytelnicy, że musiałem tak otwarcie wypowiedzieć tu tym panom całą prawdę — ja człowiek dzisiejszych czasów, który umiem w głębi serca szanować wszystkie pamiątki narodowe, umiem boleć nad niemi w skrytości; ale z drugiej strony nie chciałbym nigdy puszczać na hazard całej przyszłości naszej wtedy, kiedy dwóch ministrów rodaków mają teki, to jest chciałem powiedzieć, mamy dwóch ministrów rodakami... jeszcze nie tak... Ot poprostu z oburzenia plącze mi się wszystko po języku, ale czytelnicy zrozumieją dobrze co miałem napisać... i wezmą sobie moje słowa na rozwagę, że nie wypada się awanturować i przypominać takie stare facecje jak rok 1831, kiedy dotąd jesteśmy z naszym sąsiadem na stopie pełnej szacunku rezerwy!...

Być może, podobnie zgryźliwe uwagi nasunęła mi zazdrość literacka owego miljona, być może śnieg, deszcz, i wicher wyjący przez nieopatrzone okna, wreszcie być może płonica, dla której zamknięto szkołę ludową u św. Marcina i szkołę wydziałową. Niczego się nie wypieram, a szczególniej tej płonicy, która bodajby spowodowała spłonienie wstydem ludzi mających zajęcze serce, zamiast polskiego, i dla których zawsze, ibi patria, ubi bene...

* * *

Sezon *koncertów* rozpoczął występ młodej pianistki, uczennicy Liszta, panny M. Majewskiej, dnia 20. b. m. Spodziewaliśmy się, że wielce pochlebny sąd Liszta o talencie koncertantki, i głośne imię, jakie już sobie zjednała w świecie muzykalnym, zgromadzi liczniejszy zastęp melomanów do sali ratuszowej: niestety, zapomnieliśmy chwilowo o naszych muzycznych Montecchich i Capulettich, którzy cały nasz gród na dwa wcale nie harmonizujące podzielili obozy. Ztąd też i na koncercie panny Majewskiej nie dostrzegliśmy wiele osób, wybitne w świecie muzykalnym zajmujących stanowiska. Przykro to zaiste wyznać, że w naszem mieście sztuka, a zwłaszcza jej uznanie i poparcie zależy od koteryjności... P. Majewska rozpoczęła odegraniem bardzo ładnego koncertu g-moll Saint Saënsa z towarzyszeniem drugiego fortepianu. Podnieść tu przedewszystkiem musimy *Andante*, odegrane z wielką precyzją, a wreszcie *finale*, wśród którego koncertantka rozwinęła niepospolitą brawurę, pewność i siłę w uderzeniu.

Nastąpiła przecudna, pełna myśli i uczucia kompozycja Szopena "Barcarola“ i „Mazurek“ Marka. Obydwa te utwory odsłoniły z innej strony talent pianistki, a mianowicie zrozumienie i trafne oddanie uczuć rozmarzonego poety“ kompozytora. Dwa następne utwory Liszta: Fantazja i Mefisto-walc, znakomite układem, pełne efektów wywoływanych przeważnie przełamywaniem trudności technicznych, były znów jak gdyby ogniową próbą biegłości w traktowaniu instrumentu, próbą, z której panna Majewska wyszła tryumfatorką.

Do uprzyjemnienia koncertu przyczyniła się doskonała deklamacja p. Wisnowskiej. Umiała ona w oddaniu „Bałamutki“ Bałuckiego i „Trzpiotki“ rozwinąć tyle naturalnej naiwności, pełnej gracji i wdzięku, że trudnoby sobie życzyć lepszej pod tym względem deklamacji.

Obydwa chóry męzkie były Achillesową piętą tego wieczora; przedewszystkiem brakowało pewności w intonacji — a to już bardzo wiele!...

* * *

W jednym z dziennikow warszawskich czytamy:

„Pisma nasze zamieszczały w swoim czasie interesujące wiadomości o tegorocznym walnym zjeździe Towarzystwa Pedagogicznego w Drohobyczu w Galicji; sądzimy że wiadomości o podobnego rodzaju zjazdach w naszym kraju, są o wiele ciekawsze, a nadewszystko *pouczające*.

Zjazd taki niedawno co został ukończony w Łęczycy, gdzie jest seminarjum nauczycieli elementarnych i trwał od 15. sierpnia do 26. września — owoż zebrawszy pewne dane o tem zjeździe a *autentyczne*, takowe treściwie kommunikujemy, ograniczając się na samych faktach bez żadnych komentarzy.

Zajęcia odbywały się w gmachu seminarjum codziennie od godziny 7. rano do 5. popołudniu z wyjątkiem jednej godziny na obiad; porządek zajęć był następujący: od 7. do 8. lekcja od 8 do 10 praktyka w szkole wzorowej, od 10 do 1 i od 2 do 5 lekcje. Wykład lekcyj prowadzili inspektor i nauczyciele seminarjum, pod ogólnym sterem naczelnika dyrekcji naukowej.

Zakresem kursów było: nauczać nauczycieli elementarnych dobrze czytać i na pamięć opowiadać treść książki Wodowcowa (stronnic 288); wyuczyć na pamięć historji Rosji, Ostrogórskiego (stronnic 88); wyuczyć napamięć Geografji Pucykiewicza (str. 126) i rysować mapy; przepisać i wyuczyć się na pamięć w skróceniu „Metodykę arytmetyki“ Jewtuszewskiego; wyuczyć się na pamięć i napisać 26 rozmaitych bajek i wierszy rosyjskich autorów; wyuczyć się na pamięć i napisać 20 piosnek rosyjskich z melodjami; wyuczyć się na pamięć gramatyki języka rosyjskiego Iwanowa; objaśnić różnicę i podobieństwo zachodzące między polskim i rosyjskim językiem; nauczyć się metodyki początkowego czytania i pisania po rosyjsku, „Siłoniny,“ w skróceniu; nauczyć się pisać kaligraficznie i rysować; wyuczyć się różnych gimnastycznych ćwiczeń; wyuczyć się śpiewać modlitwy przed i po nauce w rosyjskim tekscie, którą śpiewali co godzina, to jest czternaście razy dziennie.

Zadawano im do wyuczenia się i przygotowania z książki Wodowcowa codziennie po 11 stronnic; z Geografji Pucykiewicza i historji Rosji Ostrogórskiego z każdej po dwa razy na tydzień po 12 stronnic. Pisania codzienne przeciętnie po półtora arkusza. Codziennie polecono nauczyć się dwie bajki, piosenki lub innych wierszy“...

I to się nazywa „Zjazdem pedagogicznym“. Rząd rosyjski pod tym pięknym tytułem zgromadza nauczycieli ludowych, ażeby napoić ich moskiewszczyzną, którąby potem przelewali na lud. Byłoby to bardzo smutne, gdyby było skuteczne — lecz o tem wątpimy. Wiemy z wielu dawnych przekładów, że męczeni w ten sposób urzędnicy lub nauczyciele, choć nauczą się kilkunastu wierszyków kaleczoną rosyjską mową, to powróciwszy do domu, albo zapominają, albo wstydzą się z nimi produkować. Wierszyki takie, źle wyuczone i poprzekręcane, są potem niewyczerpanem źródłem anegdotek i żartów.

* * *

Odezwa komitetu węgierskiego w sprawie „Albumu Bema“.

„Komitet, zajmujący się uroczystością odsłonięcia pomnika Bema, dowiedział się, że jenerał Bem pozostawił dwie siostry, które w wielkim niedostatku żyją. Jedna z nich „De Cosbay Antonia Bem“ jest wdową po polskim szlachcicu Romanie Twardzickim, który w roku 1863 do Syberji deportowanym został. Żona to-

warzyszyła mu tamże, a po zgonie jego żyje obecnie z dwojgiem dzieci w nędzy w miasteczku Kostroma. Drugą siostrą jenerała jest pani Kosowska, która owdowiawszy w r. 1870, żyje w Krakowie w bardzo smutnych stosunkach.

Ustęp w tem miejscu skonfiskowała c. k. Prokuratorja Państwa.

„Ażeby atoli pomoc ta była tem skuteczniejszą, postanowił komitet na temże samem posiedzeniu na korzyść wspomnianych wdów wydać „Album Bema“ w objętości około 8—12 arkuszy druku, który będzie zarazem pamiątką wielkiej narodowej uroczystości. Redakcję tego wydawnictwa powierzono p. Kerekes, redaktorowi jednej z politycznych gazet. Pomieszczone będą w niem prace najlepszych węgierskich jakoteż polskich autorów. Czysty dochód z „Albumu Bema“ będzie w zupełności użyty na wsparcie sióstr Bema.

„Nadchodzące datki przesyła komitet na ręce mieszkającego w Szwajcarji wychodźcy polskiego, hr. Platera, który podjął się starania, ażeby datki te doszły na miejsce właściwego przeznaczenia.

Ustęp w tem miejscu skonfiskowała c. k. Prokuratorja Państwa.

„Portret jenerała, jakoteż rycinę przedstawiającą pomnik pomieścimy w albumie. Cena prenumeracyjna jednego egzemplarza na zwykłym papierze wynosi 1 złr. w. a. — w ozdobnem wydaniu 2 złr. Prenumeratę na „Album“ z dokładnem podaniem adresu, jakoteż łaskawe datki dla sióstr Bema, należy przesyłać do „komitetu Bema (Bem-Comité) w Maros-Vasárhely“. Kto zbierze dziesięciu prenumeratorów, otrzyma egzemplarz „Albumu“ w darze.“

Komitet akademicki we Lwowie przyjął na siebie pośrednictwo w tej mierze.

TEATR.

W ubiegłym tygodniu powtórzono jeszcze dwukrotnie komedją Mosera „Spirytyści“, o której mówiliśmy obszerniej w ostatnim numerze naszego pisma. Podnieść musimy z całkowitem uznaniem, że w obu ostatnich przedstawieniach postarała się reżyserja o usunięcie drobnych niedostatków, które jej bezstronna prasa po pierwszej reprezentacji wytknęła. Wystawa sztuki była w istocie bardzo staranna, a odegranie drugiej sceny czwartego aktu, zwłaszcza na trzeciem przedstawieniu, nie pozostawiało nic do życzenia. Miast szerokiego określania zalet gry artystów w tej scenie, powiemy krótko, że wyłoniła się ona z pstrego kłębka intrygi jakby nicią litego złota, która drgnęła w sercach słuchaczów tonem prawdziwego, głębokiego uczucia i podniosła w ten sposób sztukę, noszącą w poprzednich aktach silne piętno farsy, do szlachetniejszego poziomu komedji. Scena ta, w ten sposób odegrana, stała się kulminacyjnym punktem całości.

Pojmując rzecz w tym duchu, jakeśmy to w poprzedniej recenzji określili, pragnęlibyśmy jeszcze tylko w kilku miejscach subtelniejszego cieniowania. A mianowicie: Młody lord Macdonald — jeśli sobie nie lekceważy starszego wiekiem i pozycją lorda Marslanda — nie powinien w jego obecności tak energicznym szturkańcem upominać Gibsona do przestrzegania przyjętej na siebie roli gentelmana; wystarczyłoby przyzwoite przywołanie go do porządku odpowiednim giestem, dostatecznie zrozumiałym dla Gibsona, a niewidocznym dla Marslanda. Inaczej lord Marsland musiałby w niemałym znaleźć się kłopocie, jak sobie wytłumaczyć jęk boleści, wydany pod zbyt energiczną pięścią Macdonalda.

Miss Edyta zanadto silnie markuje swe niezadowolenie, wynikające z podejrzenia, jakoby Ewa Webster kochała rzekomego Roberta, recte Macdonalda, i przez to obniża prawdopodobieństwo, a zatem i wartość całej następnej, bardzo wdzięcznie przeprowadzonej sceny wzajemnego oszukiwania się obydwóch dziewcząt.

A wreszcie rzeczywisty bibljotekarz Robert jeszcze zawsze czyni za wiele, całkiem niepotrzebnych wysiłków, celem osiągnięcia komicznych efektów, gdyż postać ta ma być komiczną już dla swego założenia, a nie dla przeprowadzenia w szczegółach.

Pod tymi oto względami życzylibyśmy sobie jeszcze podniesienia diapasonu sztuki do szlachetniejszego, spokojniejszego nastroju, a jesteśmy pewni, że wówczas utwór ten, mimo swego określenia na tytule oryginału „Eine Posse“, mimo wielu szarżowanych akcesorjów, spoczywających wyłącznie w rękach krawca i guwernantki, modelowanych na wzór francuski, osiągnie swój właściwy charakter, i pójdzie znakomicie!

* * *

A teraz z innego tonu, à la Lecoque, bo mamy jeszcze pomówić o przedstawieniu „Książątka“, które już trzykrotnie, raz w konnej świcie, drugi raz na koniu solo, a wreszcie pieszo pojawiło się na naszej scenie. Teatr przepełniony; to najlepszy barometr sukcesu sztuki. Ha, w dziwnych żyjemy czasach: Szekspir, Sziller, Słowacki... zdjęli swe wawrzyny i złożyli z rezygnacją na skroniach Offenbacha, Lecoqu'a i Suppe'go. Publiczność zadowolona, dyrekcja także. Co do dyrekcji, cieszymy się nawet serdecznie, że, dzięki „Książątku“, pokryje niedobory, na jakie ją naraża przedstawienie jakiegokolwiek poważnego arcydzieła.

Lwów może sobie powinszować takiego personalu operetkowego. Panie Skalska, Bocskaj i Malewska, tudzież panowie Zboiński i Skalski, wybornie się wywiązali ze swego zadania, chóry szły dobrze, wystawa była świetna, prowadzenie energiczne — a zatem też operetka musiała znaleźć zasłużone powodzenie. Nie chcąc wchodzić w szczegóły muzykalnej wartości rzeczonej operetki rejestrujemy tylko, że najbardziej podobały się w akcie pierwszym menuet unisono paziów: „Ach dostał już po nosie!“ i walc, duet pp. Skalskiej i Bocskaj, w drugim, lekcja śpiewu w pensjonacie i homeryczny śmiech wywołujące duo panny B. i pana Skalskiego, a wreszcie w akcie trzecim, arja pana Zboińskiego „o garbusku“. Do powodzenia tej sztuki niemało się przyczynia bardzo dobre, trafnie podłożone tłumaczenie libretta. Pełno w niem życia i dowcipu, nie przekraczając granic przyzwoitości. Przy tej sposobności jednak, uznając najzupełniej wyborną grę pana S., radzilibyśmy mu szczerze unikać w niektórych miejscach zanadto dwuznacznych a trywialnych gestów. Komiczne efekta wywołuje już tempo muzyki i tekst libretta do tego stopnia, że „czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa“ sobie sam komentarz, nawet bez zanadto wyraźnej gestykulacji, która zatem wobec jednych jest niepotrzebna, a drugich słusznie drażnić może. Nie szkodziłoby także członkom chóru żeńskiego i męzkiego wpoić nieco więcej naturalnej akcji, zwłaszcza w początkowych scenach aktu trzeciego, kiedy kobiety — ni to drugie Semiramidy —przypatrują się wrzącej opodal bitwie — z prawdziwie stoickim spokojem Sytuacja wymaga tu koniecznie trochę więcej ruchu i oznak trwogi, przenikającej lękliwe serca niewieście.

R. St.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Budzyński Michał.* Wspomnienia z mojego życia w r. 1860. 2 tomy 8-ka str. 453 356 z portretem autora. Poznań 1880. 9 złr.

— *Eurypides.* Andromache. Tragedja napisana w czasie pierwszej połowy wojny poloponezkiej, przekład Z. Węclewskiego. 8-ka str. 58. Poznań 1880. 60 ct.

— *Eurypides.* Bachantki czyli Pentej. Tragedja przedstawiona po śmierci autora, przekład Z. Węclewskiego. 8-ka str. 68. Poznań 1880. 60 ct.

— *Gliński Jędrzej.* Wzory i zadania do ćwiczeń stylistycznych dla szkół ludowych, wydziałowych, tudzież rzemieślniczych i rolniczych, zastosowane do nauki z poglądu jako objaśnienie do tablic w szkołach używanych. 8-ka str. 202. Kraków 1880 r. 80 ct.

— *Heidenreich dr. R.* Tak zwany magnetyzm zwierzęcy, przełożył J. Pollak. 8-ka str. 63. Warszawa 1880. 45 ct.

— *Junosza Klemens.* Chłopski mecenas. Sztuka ludowa w 5-ciu obrazach ze śpiewami i tańcami, napisana oryginalnie. 8-ka str. 92. Warszawa 1880. 60 ct.

— *Justi F.* Lat temu 2400 (dzień z życia króla Darjusza) przekład St Wegnera. 8 ka str. 23. Poznań 1880. 42 ct.

— *Krechowiecki ks. A* O legitymizmie praw narodowych. 8-ka str. 38. Lwów 1880. 42 ct.

— *Miłkowski Z.* W Galicji i na Wschodzie 8-ka str. 202. Poznań 1880. 2 zł. 40 ct.

— *Moers Juljan z Poradowa.* Księżna Gorysława. Dramat w 5 ciu aktach. 8-ka str. 167. Piza 1880. 3 złr.

— *Ołtarzyk nowy.* Nabożeństwo z książek przez kościół św. potwierdzonych, tudzież pieśni nabożne najbardziej używane. Wydanie siódme. 16-ka str. 441. Poznań 1881. 45 ct.
Na welinie 1 złr. 50 ct.

— *Pochód tryumfalny Germanika.* Obraz historyczny z dziejów cesarstwa rzymskiego, podług T. Fröhlicha, wolny przekład Stanisława Wegnera. 8-ka str. 24. Poznań 1880. 36 ct.

— *Rodoć M.* (M. Biernacki) Satyry obyczajowe. (Bibljoteki Mrówki tomik 101) 16-ka str. 63. Lwów 1880. 20 ct.

— *Rogosz Józef.* Pokuta. Powieść. 8-ka. str. 308. Lwów 1881. 1 złr. 60 ct.

— *Ślężańska.* Wielkopolski kucharz. 600 praktycznych przepisów kucharskich z własnego doświadczenia, jako to: przepisy smacznych a tanich potraw, smarzenia konfitur, przysmaczków i ciast, przyrządzania lodów, kremów, galaret, deserów, konserwów i wędlin, oraz sekreta gospodarskie. Drugie wydanie poprawne i powiększone. 8-ka str. 277. Poznań 1881. 1 złr. 50 ct.

— *Wegner Stanisław.* Pompeja. Historja i opis miasta. 8-ka str. 44. Poznań 1880. 36 ct.

— *Zasady nauki społecznej,* czyli religia fizyczna płciowa i przyrodzona, rozprawa o prawdziwej przyczynie trzech głównych społecznych klęsk: Ubóstwa, nierządu i celibatu i o środku zaradczym na nie, przez doktora medycyny. Przekład z angielsk. 8-ka str. 604. Genewa 1880. 1 złr. 50 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Najnowsza powieść Jana Lama p. t. „Dziwne karjery“ wyszła z druku nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie.

*** W szeregu historycznych powieści Kraszewskiego, ukazał się: „Kraków za Łokietka“ w dwóch tomach.

*** Dr. Kazimierz Szulc, wydał w Poznaniu dzieło, p. t. „Mythyczna historja Polska i Mythologja słowiańska.“ O pracy tej podamy wkródce obszerne sprawozdanie.

*** Jeden z profesorów uniwersytetu warszawskiego przygotowuje do druku bardzo poważną pracę „O stanie skarbowości za czasów Stefana Batorego.“

Tadeusz Korzon zaś ukończył studjum pod tytułem: „Wnętrze Polski za Stanisława Augusta.“ Dzieło to zawierać będzie dwa obszerne tomy.

Sumienny i uzdolniony tyle autor pracował nad niem przeszło lat dwa, posiłkując się wznacznej części zupełnie nowemi źródłami.

Jest to studjum nadzwyczaj ciekawe, jako charakterystyka czasów tak smutnie zapisanych w naszej historji.

T. Korzon złożył swe dzieło akademji umiejętności w Krakowie.

*** Ukazała się w obiegu księgarskim rzecz dra A. Chałupczyńskiego p. t. „O niektórych błędach w teorji Darwina“.

*** Wyszła z druku powieść p. t. „Bez pięciolistny“ przez Hajotę (pseudonim).

*** Wyszedł z pod prasy zeszyt Xty „Słownika geograficznego“, zawierający w porządku alfabetycznym wyrazy od „Cydar“ do Czeremoszno“.

*** Do prac monograficznych, w ostatnim czasie wydanych, zaliczyć wypada „Opis miasta Prasnysza“, w gub. płockiej, skreślony udatnie przez ks Józefa Osieckiego.

*** Sfinks Kraszewskiego wychodzi w przekładzie niemieckim.

*** Dziennik czeski „Swetozor“ podaje wizerunek Lucjana Siemieńskiego i wyczerpujący życiorys, nieznaną skreślony ręką.

*** Tygodnik niemiecki „Deutsches Familienblatt“ zaczął druk powieści Sachor-Masocha p. t. „Atłas Gawryło.“

Rzecz wysnuta na tle życia żydowskiego na Ukrainie.

Biedni żydzi, biedna Ukraina!

*** „B. B. Courier,“ który tak doskonale słyszy co się u nas dzieje, zamieścił w jednym z ostatnich numerów doniesienie, „iż jubilat Kraszewski, w Dreźnie obecnie przebywający, wykończył w tej chwili romans historyczny z życia hr. Kosel.“

Romans ten, dodaje *B. B. C.*, jest po polsku(!) pisany, ale ukaże się też w niemieckim języku.

To znaczy wiedzieć dobrze o wszystkiem!

*** Książki w obcych językach do rzeczy polskich:

Ksawery Marmier wydał: »*Contes populaires de diférents pays*«, w których pomiędzy innemi podeniami ludów słowiańskich zamieszczono i nasze klehdy.

Ostatni poszyt »*Mittheilungen*« stowarzyszenia Kopernikowego, zawiera rzecz o liście naszego astronoma do Wapowskiego, skreśloną przez Zygmunta Günthera.

*** Nagrodę zz najlepszy poemat historyczny rozpisaną z okoliczności 50-letniej rocznicy niepodległości Belgji, przyznano p. Karolowi Potvin, członkowi akademji belgijskiej, za poemat p. t. »*La patrie de 1880*«; inne poemata, nadesłane na konkurs, dla pewniejszego uszanowania tajemnicy, spalone zostały w obecności komisji.

*** Londyński tygodnik *Truth* donosi, iż lord Beaconsfield pracuje nad nowym romansem pt. „Endymion“, oraz dokonywa przeglądu wszystkich dzieł które ukazać się mają w roku przyszłym w wspaniałej edycji.

*** Ateneum w Zeszycie na miesiąc Październik r. b. zawiera: 1. Ostatnie lata Witolda, przez Antoniego Prochaskę. 2. Ludwik Kamoens, jako śpiewak Luizjady, przez Edwarda Grabowskiego. 3. Sylwek Cmentarnik, przez Elizę Orzeszkową. 4. Wolność nauczania we Francji wobec uroszczeń państwa i kościoła, przez L T. Hodiego. 5. Listy czeskie, przez Prawdę. 6. Szkice z Anglji, przez Sewera. 7. Rozbiory i sprawozdania. Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego, dr. Antoniego Małeckiego, przez W. Nehringa. 8. Kronika naukowa przez S. K. 9. Kronika miesięczna.

*** Przegląd Polski w zeszycie za m. październik zawiera: 1. Cesarz w Galicji przez St. Tarnowskiego. 2. Z dzieła prof. St. Smolki „Mieszko stary i jego wiek.“ Pierwszy monarcha krakowski. 3 Rytwiany i ich dziedzic przez Ludwika Powidaja. 4. Przegląd literacki. 5. Przegląd polityczny. 6. Nowe książki.

*** „Gazeta Rolnicza“ w Nrze 43. z rb. zawiera: 1. Reformy włościańskie w dawnej Polsce w XVIII wieku, szkice historyczne przez Walerego Przyborowskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljusz Au. 3. Co począć z psującemi się burakami, napisał dr. A. Sempołowski. 4. Wspomnienia z wystawy koni, przez S. H. 5. Usprawiedliwienie projektu ustawy leśnej królestwa Polskiego. 6 Listy z Anglji, przez Pa... Rys... 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Meteorologja. 10. Rozmaitości. 11. Kurjer rolniczy. 12. Odcinek zawiera: Bolesna droga, przez Sygurda Wiśniowskiego.

Sztuki Piękne.

*** W Krakowie ma być przedstawiony dramat „Izrael na puszczy“ p. Łętowskiego, który obecnie pracuje nad nowemi dramatami „Kambyzes“ i „Niewola Babilońska“ — czy to nie szkoda czasu i talentu?

P. Kruziński rozpoczyna wydawać w Warszawie pismo, p. t. „Nowiny muzykalne.

*** O nowych kopozycjach pianisty Zarębskiego, który jak wiadomo, jest obecnie profesorem konserwatorjum w Bruksęlli, wyraził się Liszt w następujący sposób w liście do wydawcy, p. Simona:

„Nie zwykłem wydawać sądu.

„Pomimo tego oświadczam panu z przyjemnością, że podług mego zapatrywania się, kompozycje Zarębskiego należą do najznakomitszych i najcenniejszych w spółczesnej literaturze muzycznej“...

*** W Paryżu przedstawiają nową czteroaktową operę Gounoda p. t. »*Le tribut de Zamora*«, z tekstem d'Ennery'ego, główne role odspiewają Lassale i panna Kraus.

*** Zburzenie Sodomy i Gomory! W jednym ze składów obrazów w Warszawie wystawiony został olejodruk, przedstawiający ten straszny epizod z Starego testamentu.

Mieszkańcy bezbożnych grodów uciekają przed ogniem, który unoszący się w powietrzu anioł *z garnka* wylewa...

Sodomczycy poubierani są w *tużurki* ostatniej mody, krawaty itd.

Damy noszą *krynoliny*...

Pomiędzy uciekającemi widać *zakonnicę* w stroju siostry miłosierdzia i kapucyńskiego braciszka z krzyżem w ręku!

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Mówią, iż papież Leon XIII. cierpi na powolne wyczerpywanie sił, przeciw któremu napróżno walczą lekarze.

*** W Poznaniu ukonstytuowało się Towarzystwo czytelni ludowych.

*** W Paryżu minister spraw wewnętrznych nakazał wydalić z granic kraju dyrektora skandalicznej gazety *Petit Républicain*, który jest cudzoziemcem; również aresztowani być mają sprzedający tego rodzaju pisma na ulicach jako współwinni, a sprzedającym je w kioskach odbierane będą koncesje.

*** Rada miejska poznańska postanowiła na rok ustąpić 25 procent od opłat za gaz i wodę, a to na korzyść teatru w tem mieście.

*** Na konkurs dramatyczny w Pradze, rozpisany przez komitet czeskiego narodowego teatru, nadesłano siedmnaście utworów, z których wszakże żadnemu nie przyznano nagrody.

*** Według „Presse“ operetka *Fledermaus* przyniosła kompozytorowi Janowi Straussowi, do chwili obecnej 70,000 guldenów tantjemy.

*** W Glasgowie studenci uniwersytetu noszą się z myślą wybrania sławnego aktora Henryka Irvinga na swego rektora; arcyśmiały ten projekt (!?) znajduje wielu zawziętych przeciwników.

*** Kapitaliści królewieccy mają założyć w Kijowie bank towarowy z 10 miljonami rubli kapitału i czynić zaliczki na 6% rocznie.

*** W Warszamie zawiązało się „Przedsiębiorstwo skupowania odpadków“ na akcje, dla nabywania szmatów, odpadków łoju, stearyny, kości, papieru itp.

*** W Londynie Towarzystwo balonowe łącznie z meteorologicznem i innemi ciałami postanowiło, za pomocą w różnych punktach i na różnych wysokościach utwierdzonych balonów, *captifs*, rozpocząć szereg spostrzeżeń o powstaniu, przyczynie i stocie mgły londyńskiej.

Odkrycia i wynalazki.

*** P. Feliks Ziemiański w Warszawie, uzyskał pięcioletni przywilej na nowego rodzaju filtr do wody.

*** *Nowe pokłady złota.* Dzienniki Sydnejskie donoszą, że ważne miejscowości złotodajne odkryto w okręgu Bathurst blisko Tuena i że w jednej z nich buszel (9 garncy naszych) sproszkowanego kwarcu dał dwa funty złota. Bogate także pokłady znaleziono nad rzeką Małgorzaty, na północnem terytorjum Australji południowej.

*** W Zjednoczonych Stanach Ameryki północnej odkryto niedawnemi czasy jezioro lecznicze (Medical lake), o którem cuda opowiadają.

Jezioro to, jest oddalone o 15 mil angielskich od miasteczka Spokove Fallas, na terytorjum Waschingtonu, a skuteczność jego wód ma być tak wielka, że niema prawie żadnej słabości, którejby nie uleczyły i to w krótkiem, nie do uwierzenia, czasie.

Wszelkie choroby skórne ustępują po dwóch lub trzech kąpielach; w chorobach nerwowych, reumatyzmie i sparaliżowaniach sprawia używanie tej wody ulgę natychmiastową, a po kilku tygodniach z pacjenta staje się nowonarodzony człowiek...

Dotąd nie przeprowadzono jeszcze dokładnej analizy wody, ale z łatwością uczuwać się daje przy skosztowaniu sól i boraks.

Jezioro to jest prawie okrągłe, około 1 i pół mili angielskiej długie i przeszło milę szerokie i ze wszystkich stron otoczone wspaniałemi lasami sosnowemi i jodłowemi.

Woda jest czysta, przeźroczysta, ciemnawego koloru, posiada znaczną ciężkość gatunkową, mężczyznę unosi swobodnie, prawie bez wszelkich z jego strony wysileń, jak się o tem piszący te słowa przy kąpieli przekonał.

Życie zwierzęce w tem jeziorze nie istnieje, a pstrągi i inne ryby wrzucone do wody ginęły natychmiast.

Jezioro nie ma żadnego odpływu i pomimo, że kilka strumyków weń wpada, w stanie wody dostrzedz nie można ani przybytku ani ubytku.

Wskutek najlżejszego wiatru wytwarza się na powierzchni piana, która może być używaną jako mydło; wszystko da się nią czyścić i to lepiej i prędzej jak mocnemi chemikaliami.

Okoliczni włościanie używają wody tej do mycia owiec z doskonałym skutkiem, ponieważ równocześnie czyści wełnę i uwalnia zwierzęta od rozpowszechnionej wstrętnej, liszajowatej choroby skórnej.

Uzdrawiające własności jeziora odkrył dopiero przed dwoma laty stary pasterz, na wpół sparaliżowany.

Zapędził on raz swoje owce do wody, ażeby się wykąpały, a w kilka dni później spostrzegł znaczne polepszenie na tych, które chorowały na liszaje; zaczął więc obmywać je regularnie i w krótkim czasie pozbyły się zwierzęta obrzydliwej choroby.

Co ważniejsza, zauważył jeszcze, że jego ramię sparaliżowane i prawe całkiem ubezwładnione, które mimowoli maczało się w wodzie podczas mycia owiec, zaczęło przychodzić do sił i odzyskiwać moc dawną.

Ucieszony tem odkryciem, zwrócił całą swoją uwagę na kurację ręki i w krótkim czasie wyleczył się zupełnie.

Wieść o tej cudownej kuracji rozniosła się szybko na wsze strony; chorzy przybywali i zakładali obozowiska całe nad brzegiem jeziora..

Wszyscy odchodzili zadowoleni z polepszenia zdrowia, a znaczna część wyzdrowiała najzupełniej!

Dziś wystawiono już mały hotel nad jeziorem i urządzono wygodne łazienki.

ROZMAITOŚCI.

Pierwsza wystawa turecka sztuki.

Wedle surowych przepisów Koranu, Turkom najostrzej wzbronionem jest odtwarzanie i przedstawianie w jakiejkolwiek formie żyjących istot...

Meczety muzułmańskie puste mają ściany, rysunki liter w kształcie arabesków zastępują w świątyniach i domach prywatnych obrazy, a prawowierny Turek nie pozwala się dziś jeszcze za żadną cenę fotografować.

Przed pięćdziesięciu jeszcze laty nie odważyłby się turecki malarz albo rzeźbiarz otworzyć pracowni w dzielnicy muzułmańskiej; wzburzone tłumy zniszczyłyby jego prace, a sędzia (kadi) zamknąłby go za znieważenie religji na kilka miesięcy do więzienia.

Szerzący się coraz widoczniej wpływ europejski w ostatnich dziesiątkach lat w Konstantynopolu, dokonał olbrzymiego zwrotu w tych pojęciach; dzisiaj w inteligentnych kołach tureckich szanują sztukę i uznają uszlachetniający wpływ jej, w przedniejszych haremach uczą się młode kobiety akwarelowego malarstwa, w konakach dygnitarzy wiszą olejne malowidła w złoconych ramach na ścianach sal, miedzioryty i fotografie zdobią kawiarnie, wystawy sklepowe, a nawet izby przyjęcia u zwykłych muzułmanów.

Budzące się stopniowo zajęcie dla artystycznych usiłowań sprawiło, iż w toku ostatnich lat niejednokrotnie powstawała myśl urządzenia w stolicy islamu wystawy obrazów rodzinnego pędzla artystów tureckich, — myśl, która w ostatnich dniach doczekała się wcielenia.

Jak to wygląda?

W czarującem miasteczku will nad Bosforem, w Terapji, w letniej rezydencji angielskiej i francuskiej ambasady, obrócono lokal greckiej szkoły dziewcząt na wystawę dzieł sztuki.

Żyjący w Konstantynopolu artyści bez różnicy wiary i narodowości nadesłali swoje prace, a liczni goście ze wszystkich kół towarzystwa stambulskiego przepełniają codziennie salony wystawy, wyrażając zadowolenie i podziw z tego pierwszego debiutu Turcji na polu sztuki.

Dwaj muzułmanie dostarczyli dzieł pędzla.

Z tych wymienić należy naprzód księżniczkę Nasli Hanum, która przedstawiła sporą liczbę olejnych kwiatów.

Krytyka nader życzliwie ocenia te obrazy.

Bardziej wszakże zajmującą od dzieł pędzla jest samaż osoba księżniczki...

Nasli Hanum jest córką wykształconego i szczodrego może nad miarę Mustafa Fazyla baszy, brata ex-kedywa egipskiego.

Odebrała ona wychowanie zupełnie europejskie, mówi i pisze po turecku, arabsku, persku, francusku, włosku i angielsku, gra na fortepianie, rysuje i maluje.

W piętnastym roku życia poślubiła młoda, z dobroci, słodyczy i wdzięku słynąca księżniczka osławionego Khalila Szeryfa beja, który podówczas był podsekretarzem w ministerstwie spraw zagranicznych, a później jako ambasador turecki w Paryżu, zmarnotrawił olbrzymi majątek w najwyuzdańszych orgiach.

U boku tego niegodnego człowieka nieszczęśliwa księżniczka pełne cierpień pędziła życie.

W r. 1878 umarł Khalil Szeryf na rozmiękczenie mózgu, księżniczka uczuła się wolną i odtąd żyje oddana wyłącznie swoim artystycznym i umiejętnym skłonnościom.

Pojawiając się publicznie, nosi Nasli Hanum zasłonę i płaszcz mahometańskich kobiet, w domu wszakże jest zupełną Europejką i używa najwytworniejszych toalet paryskich.

Liczy lat dwadzieścia trzy lub cztery i ma być olśniewającą pięknością...

Pogłoska, jakoby miała wstąpić w nowe śluby małżeńskie, a mianowicie z pruskim oficerem od ułanów, który w ubiegłym roku przyjął islam, nie sprawdza się.

Wielce przez krytykę wysławiany obraz: „Bawiące się muzyką kobiety w haremie“ pochodzi także z palety mahometanina, syna byłego wielkiego wezyra Edhema baszy, Hamdy beja.

Hamdy liczy teraz lat około czterdziestu; wychowany w Paryżu, z powierzchowności, zapatrywań i usposobień więcej zdaje się być Francuzem niż Turkiem.

Żona jego również jest Paryżanką, dzieci odbierają wychowanie zupełnie *alla franka*.

Gdy ojciec jego był głową państwa, piastował Hamdy przez dłuższy czas urząd prefekta Pery, wszakże nie troszczył się nigdy goręcej interesami prefektury i obojętnie przyjął swą dymisję.

Obecnie poświęca się wyłącznie sztuce: obraz, wystawiony przezeń tej wiosny, wyobrażający „turbeh“ (grobowiec) sułtana Mahmuda, został nabyty przez Abdul-Hamida.

Z grona artystów niemuzułmańskiego wyznania przedstawili swoje obrazy: ormiańczyk Krikor Effendi Keutsze-oglu portrety i obrazy rodzajowe, w tej liczbie bardzo piękny obraz większych rozmiarów, przedstawiający derwisza, który stara się wyleczyć chorą dziewczynę przez dotknięcie ręką; dalej ormiańczyk Boghos Effendi Szeszian, pejzażysta, ormianka panna Servicen, która wystąpiła z portretem swojego ojca, senatora Servicen Effendiego; francuski poseł Tissot wystawił akwarelle; lewantyńcy Preziosi, Farnetti i Leruana płótna rodzajowe, portrety i malarstwo wodne; Francuz Vallaury obraz architektoniczny, a Angielka mstrs Walker wdzięczny obrazek rodzajowy, przedstawiający negra z koszykiem owoców.

Jakkolwiek liczba wystawionych przedmiotów nie jest wielką, jakkolwiek obrazy świadczą raczej o chlubnych usiłowaniach aniżeli o istotnem artystycznem udoskonaleniu, to przecież okoliczność, że w stolicy islamu wystawę obrazów urządzić było można, jako dowód wnikania pojęć europejskich w łono cywilizacji tureckiej, zasługuje na uznanie Europy.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 44.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.